



Podziałka 1:200.000

MAŁA U



MOJE PIERWSZE BOJE

Wspomnienia Józefa Piłsudskiego, zatytułowane «Moje pierwsze boje», zawierają opis przeżyć wojennych z r. 1914. Wspomnienie pierwsze p. t. «Nowy Korczyn—Opatowiec» odnosi się do końca września 1914 r., kiedy oddział Piłsudskiego po opuszczeniu Kielc prowadził walki nad Wisłą w widłach Wisły i Dunajca. Następne p. t. «Ulina Mała» zawiera opis słynnego przejścia spod Wolbromia do Krakowa przez Ulinę Małą; ostatnie wreszcie, zatytułowane «Limanowa—Marcinkowice», odnosi się do grudniowych walk na Podhalu, zakończonych wkroczeniem oddziału Piłsudskiego do oswobodzonego Nowego Sącza.

Wszystkie te trzy wspomnienia pisał Piłsudski w czasie więziennego pobytu w twierdzy magdeburskiej. Pozostawione w rękopisie przy uwolnieniu Piłsudskiego w Magdeburgu, zostały w kilka lat później odesłane przez władze niemieckie na ręce Kazimierza Sosnkowskiego, skąd wróciły do autora. W r. 1925, przekazane do stylistycznego przepracowania Kazimierzowi Świtalskiemu, zostają po raz pierwszy opublikowane p. t. «Moje pierwsze boje» i zaopatrzone w przedmowę Piłsudskiego, zamieszczoną w t. VI «Pism Zbiorowych». Poszczególne wspomnienia zamieszczone w tomie niniejszym, podane zostały według kolejności, w jakiej pisane były w Magdeburgu.

ULINA MAŁA

Armia gen. Dankła cofała się w końcu października 1914 r. spod Dębłina. Nie była pobita — przynajmniej my pod Laskami nie odczuliśmy tego — a jednak cofała się, jak armia pobita, szukająca bezpieczeństwa w szybkim odwrocie, w pozostawieniu pomiędzy sobą a nieprzyjacielem możliwie dużej przestrzeni. Dwa razy stawaliśmy na pozycjach — pod Brzechowem i pod Górą — lecz tylko po to, by po wymianie pierwszych strzałów cofać się dalej pod osłoną nocy. Będąc nieraz w ariergardzie 46 dywizji obrony krajowej i nie mając właściwie przed sobą naciskającego nieprzyjaciela, tłumaczyłem sobie to pospieszne cofanie się, podobne do odwrotu po klęsce, porażką na innych frontach, przegraną, która odsłaniała nam skrzydła i gnała tak niemiłosiernie szybko na zachód. Pewne niewyraźne pogłoski o tym chodziły pomiędzy oficerami: więc

Przemysł znowu jest obleżony, więc Rosjanie zajmują środkową Galicję, w Karpatach idą rozpaczliwe ataki, by osłonić Węgry, wreszcie gdzieś koło Łodzi i Łowicza Niemcy pobici cofają się ku swojej granicy.

Chaos pojęć o sytuacji wojennej powiększała jeszcze specjalna moda austriacka. Moda ta polegała na robieniu siebie większym od innych przez posiadanie danych, potrzebnych dla zrozumienia czy to rozkazu, czy to sytuacji, i nieudzielanie tych wiadomości, broń Boże, nikomu, ażeby w ten sposób nie zmniejszyć przed nikim swej wielkości. Rezultatem tej specjalnej ze się tak wyrażę Grossmacherei¹⁾ było szerzenie się w wojsku tak powszechnych opowiadań o klęskach i niepowodzeniach, żeśmy cofali się w wielkim rozpędzie, w atmosferze zupełnego rozbicia armii austriackiej. Narazie, aż do Góry pod Pińczowem, przypuszczałem, że idziemy ku Krakowowi. Skierowałem nawet wprost w tym kierunku wszystkie nasze bagaże i tabory cięższe, każąc im, by wyprzedziwszy wszystkie austriackie tabory, spieszyły czym prędzej stanąć kwaterą gdzieś w okolicach Krakowa. Chciałem uniknąć w ten sposób zaguby naszych bagażów i zaplątania się ich w marszu z taboarami całej armii, któreśmy już szczęśliwie dogonili niedaleko od Pińczowa. Błyskała mi myśl, że może przy tym kierunku cofania się staniemy za parę dni w Krakowie. Tam, myślałem, zebrani razem z chorymi, rekonwalescentami i maruderami wszelkiego rodzaju, staniemy w obronie naszej bazy, skądęśmy na wojenkę wyszli. Tam nawet nieszczęśliwy koniec naszej próby stworzenia żołnierza polskiego będzie miał odpowiedni scenariusz historyczny.

Lecz nie! Od Góry odwrót, nie mniej pospieszny, poszedł w kierunku wyraźnie zachodnim — nie południowo-zachodnim, ku Krakowowi. Szliśmy wyraźnie na Miechów lub nawet nieco na północ od Miechowa, ku Antolce. Tu, po raz drugi podczas wojny, przypominałem sobie Langiewicza, gdy niegdyś, już jako dyktator, szedł spod Krakowa przez tę samą Antolkę ku Chrobrzowi nad Nidą, by smutnie w lesie pod Grochowiskami skończyć swą błyskotliwą, prawie operetkową pracę nad wojskiem polskim. Opanowywały mnie smutne, niewesołe myśli, a czułem, że i wśród mych podwładnych jakaś depresja bierze górę nad wszystkimi innymi uczuciami! W Antolce otrzymaliśmy rozkaz cofania się dalszego na Wolbrom i Krzywopłoty. Od tej chwili Kraków pozostał od nas na wschodzie i wszelka nadzieja na walki i boje pod Krakowem znikła

¹⁾ Robienie siebie większym od innych.

zupełnie. Szliśmy na Zagłębie, kto wie, może jutro staniemy u granicy Królestwa. Dowcipnisie w moim sztabie już określali miejsce pierwszej kwatery dla Brygady na obcej ziemi.

Marsz na Wolbrom był bardzo uciążliwy. Mieliśmy iść w awangardzie 46. dywizji. Wskutek małej ilości kuchen polowych i niedostatecznego wtrenowania się jeszcze żołnierzy do wczesnego wstawania i szybkiego załatwiania wszystkich swych porannych czynności gospodarczych, opóźniliśmy się z wyjściem. Wywołało to przykre dla mnie konflikty przy samym wstępie do marszu. Droga była już po prostu zalana przez cofające się bezładnie tabory. Dowódca brygady, która miała iść za mną, stroił niezadowolone miny i oświadczył, że złożył na mnie skargę do komendanta dywizji. Między moimi «taborytami» a austriackimi wynikały ustawiczne spory, dochodzące do tego, że jedni i drudzy chwyтали za broń, by otworzyć sobie drogę. Do taborów, wlokących się z krzykiem i przekleństwami we wszystkich możliwych językach, zaczęła wciskać się gwałtem artyleria i parki amunicyjne, torujące sobie drogę swoim ciężarem i bezczelnością. Pomiędzy tabory i artylerię zaczęła wchodzić piechota i karabiny maszynowe. Jednym słowem, odwrót, gdy wojsko już raz wpadło na swoje własne tabory, zaczął przybierać charakter jakiejś bezładnej ucieczki, gdzie każdy starał się być pierwszym, by być dalej od nieprzyjaciela.

W atmosferze wojskowej dawało się z tego powodu wyczuć jakieś zdenerwowanie, wskutek którego, naturalnie, jeszcze bardziej powiększało się tarcie maszyny wojennej. Bataliony moje wcisnęły się jakoś w tę rzekę ludzi, koni i wozów, wcisnęły się bez porządku, jak kto mógł. Specjalnie tabory były rozerwane na mnóstwo części i szły w tej rzece, płynącej ku Wolbromiowi, bez żadnego związku. Nieraz nawet poszczególne wozy szły samotnie, oddzielone od innych szeregiem wozów, należących do innych jednostek wojskowych, wywołując tym, naturalnie, specjalne niezadowolenie u dowódcy danego taboru i u jego podwładnych.

Unikając ścisłu na głównej drodze, gdzie podwójnym rzędem szły w natłoku wozy, boczną ścieżką, wyprzedzając wojsko, ruszyłem ku Wolbromiowi. Wreszcie z pagórka ujrzałem miasteczko. Do ciasnej uliczki wciskały się teraz z trudem i mazołem wozy i armaty. Ba, do miasteczka dążyliśmy nie my jedni. Skądś, od północo-wschodu szły inne tabory, inne wozy i inne armaty. Wkrótce na ogromnej przestrzeni przed miasteczkiem nie tylko drogi, lecz nawet ścieżki pełne były nieprzerwanego szeregu wozów, dążących do wjazdu do Wolbromia. Tu odbywała się istna orgia: krzyki, przekleństwa,

kłótnie o to, kto ma pierwszy wcisnąć się do miasteczka, bicie po pyskach koni, zajeżdżających innym drogę, nawoływanie się, słowem — piekło, do którego nie chciałem mieszać swego wojska. Dałem więc rozkaz, by zatrzymywano i ściągano na stronę wszystkich legionistów i ich wozy u wejścia do Wolbromia. Kazałem rozpalić ogień wobec zimnego jesiennego wiatru i czekać, nim cała fala nie przepłynie, a my, bez walki o miejsce, w porządku przejść byśmy mogli swobodnie. Było to zresztą i dlatego konieczne, by zebrać wszystko, co należało do nas, do kupy, nie dać zginać w tłoku i nieporządku poszczególnym wozom, rozproszonym wśród innych.

Nie chciałem stanowczo do tych walk o miejsce się mieszać. Miałem zupełnie dosyć tej wiecznej, nieustającej kłótni i sporów z otoczeniem — austriackim wojskiem z I korpusu, do którego byłem przyczepiony i z którym przebyłem całą operację dęblńską. Przypominałem sobie u wejścia do Wolbromia całą dotychczasową naszą historię.

Gdym 6 sierpnia 1914 r. wyprowadził strzelców na wojnę i pomaszerował na Kielce, pomiędzy mną a sztabem austriackim nie było omówionych dostatecznie ściśle warunków wzajemnego stosunku pomiędzy tworzącym się wojskiem polskim a austriackim. Skorzystałem z tego, by postawić od razu, od pierwszego kroku, sprawę tak, aby w młodego żołnierza wpoić możliwie wiele ambicji, honoru, miłości własnej, wreszcie poczucia niezależności od obcych i dumy z tego, że się jest pierwszym zawiązkiem wojska polskiego. Z tych uczuć płynęło konsekwentnie wysokie poczucie obowiązku, aby w niczym nie poniżyć w oczach otoczenia, ani tym bardziej własnych, sztandaru, który od razu postarałem się wznieść możliwie wysoko. Okoliczności pierwszych tygodni wojny sprzyjały temu nadzwyczajnie. W Kielcach byliśmy w tej części teatru wojny, w której akcja wojenna nie była wcale żywą, gdzie zatem stały nieliczne, drugorzędne formacje wojskowe pospolitego ruszenia, które z natury rzeczy nie mogły posiadać gwałtownej chęci supremacji nad nami. Zresztą szybko zdołałem rozwinąć z jednej strony urządzenia wojskowe, z drugiej polityczno-administracyjne instytucje. Stwarzałem w ten sposób mnóstwo faktów dokonanych, czynionych na własną, polską rękę, co znowu nie tylko zmuszało do liczenia się z nami, ale również dawało formującemu się wojsku zewnętrzny wykładnik tego poczucia dumy narodowej i ambicji wojskowej, z których chciałem stworzyć podstawę dla «morale» polskiego żołnierza. Już same fakty, że w Kielcach, największym mieście w południowej części Królestwa, zajętej przez wojska inne, miałem kwaterę w pa-

łacu gubernatorskim, w siedlisku dawnej władzy głównej, wtedy, gdy kwatera dowódców wojsk niemieckich i austriackich znajdowała się gdzieś w mieście, że moje bataliony stały w głównych budynkach państwowych, że polskie wojsko było tam najliczniej reprezentowane — dawały podniecie dla poczucia dumy i nadziei rozwoju.

Pierwszym ciosem, ciosem poważnym i bardzo bolesnie przez wojsko odczuty, był pakt zawarty przez Naczelny Komitet Narodowy z Naczelną Komendą Armii austriackiej, co do formowania Legionów Polskich pod jego, N. K. N., opieką. Warunki tego paktu robiły z nas składową część armii austriackiej, przyrównując nas do pospolitego ruszenia — landszturmu austriackiego — i oddając nas pod opiekę organizacyjną Ministerium Obrony Krajowej. Jako komendantów Legionów wyznaczono oficerów austriackich polskiego pochodzenia, nie mających nic wspólnego z formacjami tego charakteru, co strzelcy.

Nie chcę wchodzić w motywy polityczne, dla których N. K. N. tak postąpił, ani w powody, które mnie skłoniły do przystąpienia do tej akcji — nie jest to wcale zadaniem tego szkicu, który piszę. Dosyć, że pakt ten zachwiał gruntownie podstawą, na której budowałem «morale» nowego żołnierza polskiego. Traciliśmy narazie swoje pierwotne stanowisko tylko w zasadzie, gdyż pozostawiono mi swobodę dalszej organizacji. Zresztą niewiele sobie robiłem z ustanowien tego paktu. Lecz skutki umowy w całej rozciągłości odczuliśmy po przyłączeniu nas do I korpusu krakowskiego, podczas ofensywy na Sandomierz i Dęblin.

Stosunek do nas od góry do dołu był przeważnie wrogopogardliwy, w najlepszych wypadkach — lekceważąco-protekcyjny. Dawało to powód do nadzwyczaj licznych starć i przykrości, najczęściej upokarzających. Po paru zajściach z samą komendą korpusu, moda stosowania się do nas, jako do «bête noire», stała się po prostu prawem. Ten stosunek tym był przykrzejszy, że spotykał on nas właśnie w polskim, krakowskim korpusie. Co prawda, było tam mnóstwo Czechów, specjalnie we wszystkich instytucjach tyłowych. Z tymi było najgorzej! Ci wszędzie i zawsze pokazać chcieli swą władzę, swe uprzywilejowane stanowisko, jako armii stałej, w porównaniu z jakąś «bandą». Po bitwie dęblińskiej, gdy pod Laskami moje bataliony wykazały doskonałą postawę, te przykrości stały się tym trudniejszymi do zniesienia, gdyż dotyczyły już nie tylko godności narodowej, lecz i dumy żołnierskiej. A w odwrocie, przy spotkaniu się z taborami, te przykrości zaczęły się mno-

żyć. Byłem zmęczony tym piekłem ciągłego uspokajania słusznie wzburzonych nerwów moich oficerów i żołnierzy. Zacząłem się obawiać po prostu o skutki takiego ułożenia się stosunków, skutki, które mogły się wyrazić albo w zwyczajnej bójce ze wszystkimi jej następstwami, albo spowodować upadek wśród wojska tego, co uważałem za najbardziej podstawową rzecz dla żołnierza, w ten sposób tworzonego — jego dumy i ambicji.

I dlatego, gdym stał wówczas podczas chłodnego listopadowego popołudnia u wejścia do Wolbromia i patrzył na nerwowe tłoczenie się wozów, koni i ludzi, na walkę wszystkich ze wszystkimi o to, by wejść pierwszy w ulice miasteczka, nie chciałem w niej brać udziału, nie chciałem pozwolić na nowe tarcia i spory pomiędzy moimi żołnierzami a «kolegami» z austriackiego wojska.

Wkrótce koło ognisk rozległ się wesoly śpiew żołnierzy. Przechodzące zdenerwowane wojsko patrzyło na nas, jak na wariatów, albo też brało naszą wesołość za kpiny z siebie. Oficerowie z mego sztabu u początku miasteczka zdobyli jakąś chałupę, gdzie przygotowano herbatę i zaproszono mnie na nią. Posłałem oficera do środka miasteczka, by tam sprawdził ruch wojska. Wrócił z raportem, że to, co się dzieje u wejścia, jest niczym w porównaniu z tym, co się dzieje na rynku, gdzie drogi różnych części wojska rozchodziły się, gdzie nastąpiło niebezpieczne dla ruchu skrzyżowanie nieporządnie idących taborów i artylerii i gdzie zresztą już kilku oficerów sztabowych robi porządek.

— Zabawa na długo! — pomyślałem, siadłem do herbaty i pogрузyłem się w analizie nurtujących mnie oddawna myśli.

Myśli te były niewesołe! Cofaliśmy się, nie zatrzymując się wcale, z jakimś potwornym pośpiechem od Wisły ku zachodowi. Mijaliśmy już Kraków, zostawiając go na wschód od nas. Odwrót, który obserwuję, nabiera jakichś cech klęski wskutek samego sposobu marszu. Trudno sobie wyobrazić, by wojsko, tak cofające się, było w stanie jutro czy pojutrze podjąć walkę. Muszą to widzieć i rozumieć i wyżsi dowódcy, których widocznie jakieś inne powody zmuszają do tego, że pozwalają na taki bezmyślny przejaw demoralizującego tchórzostwa. Widocznie więc, jeśli walka będzie podjęta, to poza granicami Polski, którą oddają na zalew Moskali.

Druga już to próba ofensywy nieudana, kończąca się klęską i jakimś prawie haniebnym, bez przyczyny zarządzanym odwrotem. Idąc tak trochę dalej, staniemy jutro czy pojutrze w obronie dostępu do Wrocławia czy Złotej Prahy i Wiednia.

Nie mogłem iść na to! Wołałbym śmierć, niż taką przyszłość. Mogła mi próba stworzenia zawiązku wojska polskiego nie udać się, mogłem się mylić w rachubach, lecz nie mogłem zdobyć się na jakieś udawanie Józefa Poniatowskiego i tonąć w jakiejś Elsterze, nie mając nawet Napoleona nad sobą, ale jakiegoś na krzywych nóżkach małoluda Demusa i suchego, złośliwego Kirchbacha *). Gdy nie ma już nadziei na rozwój wojska, gdy po prostu Austria walczy chyba o jako tako przyzwoite zakończenie wojny, trzeba kończyć i nam. Niech I korpus krakowski broni Prahy i Wiednia, Wrocławia i Berlina — my, wolni strzelcy polscy, nie będziemy tego czynili. Spróbujemy umrzeć z honorem, lecz umrzemy na swojej własnej ziemi!

Były to moje rozpaczliwe myśli u wejścia do Wolbromia, gdzie w błotnistych uliczkach miasteczka człapały jeszcze konie, ciągnąc za sobą taborowe wozy, armaty, jaszczke i dudniące kuchnie. Zdawałem sobie sprawę, że czynię jakieś wysiłki, aby się obronić od tego dzikiego skoku gdzieś w zupełnie nieokreślonej i niewiadomej przyszłości. Fizyczne i moralne zmęczenie robiło swoje. Leniwie i tępo patrząc w przeciwną ścianę, siedziałem na jakiejś ławie, nie chcąc się ruszać z miejsca. Ogólne znużenie nie usposabiało do energiczniejszego wysiłku myśli. Odpocząć przed tym, nim się coś postanowi, odpocząć samemu, dać odpocząć innym, nim się zażąda od nich wydatku energii! Lecz gdzie? Tutaj, przed tym błotnistym Wolbromiem, gdzie jutro mogą się ukazać może patrole rosyjskie? Umierać tutaj, jako opóźniony w cofaniu się maruder! Robiło mi się smutno na duszy i za siebie, i za tych, których prowadziłem za sobą. Umierać można, lecz nie tak śmiesznie! Jakaś zanadto dziwna Elstera!

Jeszcze raz błysnęły mi w oczach mury Krakowa, skąd wyszliśmy na wojnę, gdzie miałem wtedy jakieś wewnętrzne uczucie, że zarówno w moim życiu, jak w życiu chłopców, których za sobą wyprowadzę, zachodzi jakiś przełom, jakaś zasadnicza zmiana. Do Krakowa? Przecież to forteca, to nie padnie w jednej chwili, w jednym dniu. Jeśli umierać, to tam, tam złożona z nas hekatomba ślad zostawić musi. Nie będzie to Elstera, lecz Wisła! Do Krakowa, albo jeszcze dalej, do Nowego Targu. Jeżeli istotnie Austriacy czują się tak pobici, że się cofają tak szalenie szybko, jak gdyby za kilka dni bronić chcieli Moraw i Czech, to nieprzyjaciel musi minąć całą Galicję. I wtedy trudno dostępne górskie okolice dadzą możliwość

*) Demus — szef sztabu I korpusu krakowskiego, główny prześladowca nasz — wydawał mi się z pochodzenia Żydem czeskim. Kirchbach — dowódca korpusu I — był hakatystycznie usposobionym Niemcem.

trzymania się dłużej, niż gdzieindziej. Górale pewno pomogą... Gdy już hekatomba ma być złożona, to będzie ona przynajmniej tam w górach bardziej historyczną, bo samodzielna, ba, będzie bardziej sceniczną. Jest już listopad, muszą przyjść śniegi, które stworzą wszędzie trudne «defilé», łatwe do obrony nawet małymi siłami. Więc spróbować się tam dostać — oto zadanie!

Odetchnąłem trochę, gdym do tej decyzji przyszedł, gdym swobodniej zaczął mówić sobie, że może jutro nie będę się tłukł po drogach w kłótniach i sporach z kochanym I korpusem krakowskim w walce «mit dem österreichischen Schikanensystem»¹⁾. Zacząłem leniwie myśleć, oglądając mapę. Trudności natychmiast mi zaczęły wyrastać: gdzieś jest rozkaz cofania się aż do Krzywopłotów — tak daleko jeszcze — a tu wkrótce zmierzch nastąpi; Wolbrom może za duże miasteczko do stania na noclegu z mymi małymi, a tak zmęczonymi siłami; lepiej może dobrze pomyśleć, nim się taką dziką rzecz zdecyduje, a tu myśleć tak, na jakimś popasie, nie sposób.

Oficer zameldował mi, że ariergarda austriacka już zajęła miasteczko i że drogę mamy wolną. Przejrzałem raz jeszcze mapę i wydałem rozkazy:

— Nocleg w Lgocie Wolbromskiej. Kwatermistrze mogą jechać. W ariergardzie batalion taki a taki wystawia forpocztę na wschód. Wymarsz w pół godziny po przejściu ostatnich wojsk austriackich.

Odczułem na sobie pytające oczy Sosnkowskiego, Kasprzyckiego i Stachiewicza. Lgota Wolbromska leżała o kilka kilometrów na wschód od linii forpoczt, wytkniętych na ten dzień dla armii, a naturalnie, jeszcze dalej od wyznaczonego dla nas miejsca postoju koło Krzywopłotów.

Odwołałem Sosnkowskiego i zacząłem mu tłumaczyć myśl moją:

— Od jutra cofamy się samodzielnie; idziemy na południo-zachód pod Olkusz, gdzie mamy największe kompleksy lasów; wyjdziemy pod Kraków, gdzieś koło Krzeszowic. W ten sposób znajdziemy się znowu w Polsce, tam zaś albo będziemy bronić Krakowa, albo pójdziemy na Podhale. Dzisiaj możliwie krótki marsz, aby ludzie i konie wypoczęli trochę, bo jutro będziemy mieli ciężki dzień, od południa jutro spodziewam się mieć kawalerię rosyjską na karku.

Nie potrzebowałem długo tej myśli tłumaczyć swemu najbliższemu pomocnikowi. Już nieraz w rozmowach podczas

¹⁾ Z austriackim systemem szykan.

marszów wymienialiśmy pomiędzy sobą myśli co do naszego tragicznego losu w najbliższej przyszłości, gdy znajdziemy się już na obczyźnie i cała myśl przewodnia, z którą szliśmy na wojnę, zniknie, skoro podstawa jej — ziemia ojczysta — spod nóg się usunie.

Narazie wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku na gwałt. Bój pod Dęblinem (pod Laskami) silnie nadszarpał nerwy i wywołał zmęczenie fizyczne. Pierwszy raz braliśmy udział w wielkich bojach nowoczesnych, pierwszy raz odczuliśmy na sobie wpływ silnego ognia artylerii lekkiej i ciężkiej, pierwszy raz przeżywaliśmy cięższe straty. Wreszcie trzydniowy bój z nieprzespanymi nocami, przy chłodach jesiennych, musiał się też na nas odbić.

Potem przyszło cofanie się z całym moralnym ciężarem, że opuszczamy Polskę. Wreszcie niekoleżeńskie stosunki z otoczeniem. Długie marsze, częsta praca w ariergardzie, wyczerpująca jeszcze bardziej siły, brak kuchen polowych, który skracał żołnierzom każdego dnia czas snu, wreszcie niedostateczne wyekwipowanie, brud i zawszenie — wszystko to razem wymęczyło strasznie wojsko. Odczuwałem to doskonale na sobie. Nigdy w życiu nie sypiałem we dnie. Nawet po niespanych prawie nocach zasypiałem w ciągu dnia zawsze z trudnością, teraz zaś wystarczało tylko nie myśleć, a już zaczynałem drzeć, a myśl o odpoczynku i o jednym chociażby spokojnym dniu była jakimś marzeniem o raję na ziemi. Przewidywałem, że przy przeprowadzeniu powziętej decyzji będziemy wszyscy mieli parę dni szalonego napięcia nerwów i mięśni. Przede wszystkim więc odpocząć przed wytężoną pracą!

Wyszedłem do wojska. Ognie paliły się wesoło, rozlegały się śpiewy i wybuchy śmiechu, otaczano kołem kolegów, wracających z miasteczka i przynoszących z niego zdobycz — chleb czy kartofle. Po drodze przeciągała ariergarda austriacka, a raczej ostatnie jej patrole. Byli to Polacy z Tarnowa i okolic. Niektórzy z nich zatrzymywali się przy ogniskach i ze zdziwieniem pytali, co tu robimy, gdy już za nimi mogą być tylko kozacy. Otrzymywali harde odpowiedzi moich chłopców, sypały się pieprzne dowcipy. Zimny, przejmujący wiatr robił jednak swoje. Widziałem zsiniałe twarze, zmęczone oczy. Niektórzy spali przytuleni do siebie. Dokoła chodziły warty. Widziałem, że wielu z naszych żołnierzy zadaje sobie te same pytania, z jakimi się do nich zwracano: «Po co właściwie tu stoimy? Może znowu jakaś ariergarda i niespana noc?» Czułem

na sobie te pytające oczy żołnierza, chcącego z twarzy dowódcy wyczytać wyrok o swoim losie. Czuję i było mi przykro, że już w duszy ich na śmierć w hekatombie skazał.

Lecz nareszcie odmarsz. Zbliżał się wieczór, a z miasteczka nadbiegł oficer z wiadomością, że droga wolna i całe wojsko austriackie już przeciągnęło. Przeprowadzono mi kasztankę. Byłem bardzo zmęczony, więc zaczęły mnie z łatwością opadać wszystkie możliwe wątpliwości z powodu powziętej decyzji.

Przede wszystkim długi szereg wozów i nasze «werndle na kółkach» — staromodna góraska artyleria z dymnym prochem. Konie zmęczone, drogi złe, szybki marsz więc trudny. Jak obronię swe wozy od napaści kawalerii, przecie połowa wojska pójdzie na osłonę taboru. Dalej, co ja właściwie wiem o nieprzyjacielu — nic a nic, oprócz tego, że właśnie na tym trakcie, którym myśmy się posuwali, nas nie naciska. Przecież nasze szybkie cofanie się nie bez powodu się odbywa, gdzieś na naszych skrzydłach musi być nacisk silniejszy, a więc nieprzyjaciel bliższy, może akurat tym zagrożonym skrzydłem jest nasze prawe — południowe? Droga więc może być trudniejszą, niż mnie się wydaje — nie tylko z przednią strażą rosyjską bym miał do czynienia. A czy jestem do tego zdolnym z tak zmęczonymi ludźmi i z tak małym zapasem nabojów, którego już, gdy zostanie sam, nie uzupełnię? A co zrobię z rannymi? Dotąd dumni byliśmy z tego, że rannych nie zostawialiśmy w ręku nieprzyjaciela, w tym wypadku zaś będzie to koniecznością. Wreszcie ta przykra rola uciekiniera, tak, jakgdyby niespełniony obowiązek żołnierski. Dobrze mówić, że moja garstka nie zaważy na szali przy obronie Wrocławia czy Pragi, a jednak... jednak nie mogę pozbyć się uczucia przykrości specjalnie w stosunku do bezpośredniego mego dowódcy, gen. Brandnera, który od bitwy pod Laskami był szczęśliwym wyjątkiem w krakowskim korpusie i zawsze okazywał swą ku nam życzliwość i koleżeństwo.

Trudności przedsięwzięcia wyrastały, jak grzyby po deszczu. Przedstawiałem sobie różne możliwe spotkania z nieprzyjacielem, szczególnie zaś tę chwilę, gdy otoczony, po wystrzeleniu wszystkich nabojów, będę musiał decydować już skazanie męczeńskiej garstki na śmierć, utrzymując w karbach u ludzi naturalną w takich wypadkach chęć poddania się. A jeżeli przed tym mnie jaka kula trafi? Czy zamiast hekatomby nie skończymy śmiesznością właśnie poddania się?

Byłem zły i zdenerwowany. Rozkapryszona kasztanka, odczuwając moje «nerwy», coraz częściej wyrzucała do góry

łbem, wyciągając mi niecierpliwie ze zmarzłych rąk cugle. A ja, opanowany wątpliwościami — tym koniecznym dopełnieniem każdej inteligentnie przemyślanej decyzji — byłem gotów już dać rozkaz minięcia Lgoty Wolbromskiej i maszerowania dalej do wyznaczonego noclegu w Krzywopłotach. Zaciśnąłem zęby, budził się we mnie mój litewski upór i wstyd — wstyd przed sobą, wstyd przed wojskiem, które w przeciągu paru godzin bez żadnej widocznej przyczyny otrzyma zmianę raz danego rozkazu.

Wczesny listopadowy wieczór przy zachmurzonym niebie zapadał szybko, gdyśmy wmaszerowali do Lgoty — wsi, rozłożonej w poprzek naszej drogi do Krzywopłotów. U wejścia czekał kwatermistrz sztabu z raportem, że mieszkanie gotowe i herbata przygotowana. Rozkazu nie zmieniłem i wojsko ze śmiechem i krzykami rozbiegło się po kwaterach, spiesząc do ciepłej chaty, do snu i posiłku.

Z moich wątpliwości, które mnie tak licznie opanowywały, została jedna, którą postanowiłem natychmiast sobie wyjaśnić. Nie wiedziałem, czy armia austriacka ma się naza jutrz cofać dalej, czy będzie stała na miejscu — w razie zaś, gdyby się cofała, o której to nastąpi godzinie. Tymczasem w Lgocie stanęliśmy właściwie pod armatami wojska, które było przekonane, że przed jego frontem mogą się znajdować jedynie oddziały nieprzyjacielskie. Bałem się więc, że przy pierwszym poruszeniu możemy być ostrzelani przez artylerię austriacką. Wezwałem kilku oficerów, dobrze mówiących po niemiecku, i rozesałem ich w paru kierunkach, z rozkazem uprzedzenia forpoczt austriackich, żeśmy z powodu zmęczenia zostali przed frontem, by rano, gdy nas dostrzegą, nie wzięli nas za Rosjan.

Zapadała noc, sztab przygotowywał się do snu. Nagle wpadł jeden z posłanych oficerów — Brzoza — z wiadomością, że jego wywiad na forpocztach skończył się zaprowadzeniem go do komenderującego brygadą, ten zaś zatelefonował do dywizjonera i z komendy dywizji przyszedł wyraźny rozkaz natychmiastowego wymarszu do Krzywopłotów ze stanowczym zakazem pozostawania przed frontem armii. Brzoza próbował telefonicznie porozumieć się z dywizjonerem i wytłumaczyć mu brak niebezpieczeństwa, lecz bezskutecznie — rozkaz został ponowiony z całą stanowczością.

Byłem więc postawiony przed nową decyzją i na szalę wątpliwości padał ciężar nowy — ciężar wyraźnego nieposłuszeństwa wojskowego. Wahanie tym razem było krótkie. Dałem rozkaz natychmiastowego wymarszu do Krzywopłotów.

Pocieszałem siebie tym, że właśnie wejdziemy w kompleks lasów, które stamtąd idą już pod Olkusz, że więc łatwiej będzie przy następnym marszu zagubić się w drodze. Było mi jednak bardzo ciężko. Gdym siadał na konia, czułem się tak, jakgdybym ze swobody szedł do więzienia.

Dla całego wojska marsz ten z Lgoty do Krzywopłotów był bardzo uciążliwy. Większość żołnierzy ledwo zdążyła ogrzać się i zasnąć, a już trzeba było wstawać, na zmęczone nogi wciągać obuwie, wychodzić ze snu na chłodne powietrze. Konie trzeba było zaprzęgać pociemku i wlec się, gdyż maszerowaliśmy strasznie wolno, po ciężkiej piaszczystej drodze, która zdawała się nie mieć końca. O! Pamiętnym mi będzie ten marsz nocny 8 listopada! Wściekły na siebie, drżący od chłodu, siedziałem na koniu, przeklinając i swoje decyzje, i wysyłanie Brzozy i wyrzucając sobie brak stanowczości i logiki.

— Już jeśliś zdecydował swój marsz do Galicji, po licha było leżeć pod armaty do Lgoty, trzeba było zostać w Wolbromiu, nie miałbyś kłopotu! — oto, jak sformułowałem swój zarzut. Zaczynałem sobie wykladać ulubioną swą teorię o ogonkach i szczątkach poprzednich decyzji, od których tak trudno się oswozić. Przecież marsz do Lgoty był niczym innym, jak dalszym ciągiem poprzedniego marszu na Krzywopłoty, gdy nowa decyzja w Wolbromiu wymagała innego kierunku.

— Tak, tak — powtarzałem sobie ze złością — I Bogu świeczka i czortu koczerga ¹⁾, jak mówią Rosjanie. To nie jest żadna decyzja, z tym nie do Krakowa i Podhala, a wprost do Złatej Prahy trafisz.

Wściekłość moja powiększyła się jeszcze bardziej, gdy po przejściu jakiejś grobelki z ciałniutkim mostem przy młynie, miejsca, które okazało się nie do przewyciężenia dla części mego taboru, spotkałem oficerów, wysłanych naprzód jako kwatermistrzów. Kwater w ogóle nie było wcale. Krzywopłoty, składające się z kilku chałup, naturalnie, były przepelnione. Proponowano, co prawda, przez grzeczność oddać dla mnie jakąś chałupę, lecz odrzuciłem propozycję. Jak biwakować, to biwakować wszystkim. O ciepłe, wygodniejsze śnie dla zmęczonych chłopców ani mowy być nie mogło. Jakieś ukrycie od wiatru dać mógł tylko lasek, a raczej zarośla sosnowe.

Wkrótce przyniesiono trochę słomy, zamigotały w zaroślach ogniska, zmęczeni ludzie walili się, jak snopy, dokoła ognia, niekiedy na wilgotną, zimną, jesienną ziemię. Mnie za-

¹⁾ I Bogu świeczka i diabłu ogarek.

prosił do siebie gościnnie i gospodarny Śmigły, który rozłożył obozowisko komendy batalionu koło większego drzewa. Otuliłem się w burkę i ćmiąc niezliczoną ilość papierosów, patrzyłem tępo w ogniska, rozpalone przede mną. Biwak zresztą nie był pozbawiony uroku. Księżyc wysoko na pochmurnym niebie rzucał na wszystko dyskretne, szaro-srebrne tony, w oddali migały po przez gałęzie kontury jakichś ruin zamczyska na stromym pagórku. Dolatywał poważny szum boru, wesoło błyskały w zaroślach liczne ognie, nadając swym zmiennym oświetleniem wszystkiemu jakieś fantastyczne formy. Gdzieś w głębi duszy wypływały — jak zwykle u mnie, gdy jestem wśród sosnowych lasów — wspomnienia młodości o Litwie, o Syberii i nocach myśliwskich, spędzonych tak samo w półśnie, przy rozpalonym ogniu. Lecz dusilem w sobie stan rozmarzenia, wywoływanego bliskim obcowaniem z przyrodą. Do głowy pełżyły wciąż te same, niewesołe wolbromskie myśli.

— Oto są skutki tych pół-decyzji! — myślałem. Gdzież jest odpoczynek dla ludzi i koni? Wyciągnąłeś ich z ciepłych chat, ze snu; tutaj ta połowa, która jeszcze nie jest zaziębiona, gotowa będzie na jutro. Konie na chłodzie całą noc będą stały, czy zdążą jeszcze w nocy nakarmić je przemęczeni ludzie? A ze switem trzeba będzie się zerwać, by iść pewno już na obczyznę. Kto wie, czy będzie okazja do skręcenia na południe, a i tam przecież będzie maszerować wojsko, i tam po drogach wlec się będą te przeklęte, kłótlive «treny».

Obok mnie, w spokojnym, młodym śnie pogrążeni, leżeli Sosnkowski i Śmigły. Ja spać nie mogłem, pomimo, iż całą siłą woli odpędzałem od siebie dokuczliwe myśli. Patrzyłem wciąż na zegarek i podrzucałem drzewo do ognia. Ostatni raz, pamiętam, sprawdziłem czas o wpół do szóstej. Później musiałem zasnąć. Obudził mnie Stachiewicz, zwykły w tym czasie łącznik z komendą dywizji. Było około wpół do siódmej rano; wstał szary, jesienny poranek 9 listopada.

Okazało się, że jestem specjalnie wezwany do dywizjонера, który ma dla mnie szczególne poruczenie. Mam gdzieś maszerować z trzema batalionami i kawalerią, dwa bataliony i artyleria zostają i dowódca pozostającego oddziału ma się meldować na przeciwległym wzgórzu, gdzie mają się zebrać wszyscy dowódcy. Skoczyłem na równe nogi.

Opodał pod lasem stał dywizjoner. Spokojnie tłumaczył mi, że wskutek tak starannego oderwania się od nieprzyjaciela nie mamy o nim żadnych wiadomości. Jest się zupełnie pociemku. Ja znam kraj i ludność lepiej, niż kto inny, dowiem się czegoś pewnego. Oprócz tego nauczył się cenić i mnie oso-

biście, i wojsko, którym dowodzę. Dlatego żąda od nas, pomimo zmęczenia, abyśmy uczynili wywiad przed frontem — od Żarnowca do Miechowa. Jest to niebezpieczna ekspedycja, ale liczy na to, że potrafię z niej się wywiązać. Mam wziąć z sobą trzy bataliony i kawalerię. Reszta zostanie i dowódca oddziałów, które pozostają, ma się za chwilę meldować u niego.

Zimne i chłodne postanowienie wróciło mi do głowy. — Nie wrócę! Przykro mi było powziąć to postanowienie właśnie przed tym przyzwoitym człowiekiem i porządnym, odważnym generałem, jednak czułem, że postanowienia nie zmienię.

— Czy dywizja stoi przez ten dzień na miejscu? — spytałem. Cień niezadowolenia przemknął się po dobroduszej twarzy generała. Szkoła austriacka nie lubi niepotrzebnych pytań i rozmiłowana jest w niezrozumiałej dla mnie tajemniczości.

— Dotąd nie mam rozkazu odmaszerowania... — odpowiedział mi chłodno.

Skoczyłem do swoich. Musiało być coś w wyrazie mojej twarzy, gdyż podczas wydawania rozkazów oficerom niejednym z tych, których skazywałem na pozostanie, błagając zwracał się do mnie z prośbą, bym zabrał ich z sobą. A wybór istotnie był ciężki. Nie miałem złudzeń. Wiedziałem, że jeśli my, którzy odchodzimy, idziemy na wycieczkę nadzwyczaj ryzykowną, lecz dającą duże moralne zadowolenie, ci, co zostaną, będą narażeni na mnóstwo przykrych moralnych przejść, bez możliwości znalezienia oparcia we mnie.

Zdecydowałem od razu, że biorę ze sobą bataliony I i III, jako mające najwięcej kadrowego materiału strzeleckiego, zostawię zaś na pewno IV, który, po detaszowaniu go pod Warszawę, wrócił z trochę pękniętą «morale». Krótko wahałem się co do wyboru pomiędzy V i VI. Większą sympatię miałem do Fleszara, który dowodził VI batalionem, chciałem go mieć z sobą, lecz batalion był świeżo sformowany i miał dużo zupełnie surowego, niewytrenowanego do długich marszów materiału ludzkiego. Okoliczność ta przeważała szalę na korzyść V batalionu. Więc idą nieparzyste I, III, V, zostają IV i VI (II — nie wrócił był jeszcze spod Warszawy).

Dowódcą oddziałów pozostających będzie Trojanowski, przy nim Stachiewicz ze sztabu, jako mający duże doświadczenie w stosunkach z austriackimi władzami. Tym dwu muszę dać specjalne instrukcje na czas, gdy zostaną sami. Instrukcje będą brzmiały:

— Prawdopodobnie nie wrócę, maszeruję do Krakowa

lub w ogóle do Galicji; nikt o tym nie ma wiedzieć, lecz jeśli wieczorem nie wrócę, oddziaływać na ludzi, by się nie poddawali rozpacz. Gdy już będę w Galicji, rozpocznę starania o wyciągnięcie ich także. Sami jednak mają też się o to starać, gdy już będą wiedzieli, gdzie jestem. W ostateczności marudować oddział, wysyłać, co tylko słabsze, do szpitali.

Krótką naradą z Sosnkowskim: — Przedstawiam sobie sytuację w ten sposób, że pomiędzy armiami nieprzyjacielskimi jest jeszcze korytarz dość szeroki, aby mały nasz oddział mógł nim maszerować na południe. Co najwyżej kręcić się po nim będzie jazda z awangardy rosyjskiej. Prawdopodobnie front południowy armii austriackiej opiera się skrzydłem na Kraków, więc ten korytarz idzie w kierunku południowo-wschodnim. Do Krakowa mamy półtora dnia marszu. Niestety, pójdziemy krajem niezalesionym i bardzo otwartym. Trzeba więc być bardzo ostrożnym i wysyłać dalekie boczne osłony. Zresztą nie bierzemy wozów, więc marsz można przyspieszać i łatwo skierować w różne strony, kolumna przecie nasza w marszu nie będzie dłuższa nad kilometr. Bieda będzie z zapasem amunicji. Idąc bez wozów, będziemy mieli tylko to, co żołnierz ma przy sobie. Bieda też z szalonym zmęczeniem. Ale na to jest ryzyko!

Najgorszym jest to, że muszę zmarnować ten cały dzień. Nie mogę odmaszerować od razu w pożądanym kierunku. Wstydby było, gdybyśmy do ostatka nie wypełnili żołnierskiego obowiązku i nie rozwiązali poruczonego nam zadania — wywiadu. Tę służbę trzeba odrobić, chociaż przez to strasznie się powiększa ryzyko dalszego marszu. Przez ten dzień pracy dla korpusu korytarz może się zwięzić niesłychanie, ba, może zniknie zupełnie. Ale na to rady nie ma, tak nakazuje honor. Nie mogę się cofnąć dlatego, że ryzyko się zwiększa. Przede wszystkim zaś tajemnica, nikt nie ma wiedzieć o zamiarze. Kto wie, może będę musiał go porzucić, po co ludzi narażać na zawód.

I gdy Sosnkowski wydawał rozkazy, odpowiadające sytuacji, ja żegnałem się z pozostającymi. Dr Ruppert i Dzieduszycki proszą raz jeszcze, bym pozwolił iść z sobą, przedstawiają «posłusznie» mnóstwo racyj po temu. Odmawiam, a w oczach ich błyszczą nieledwie łzy niemego wyrzutu. Oglądam z pewnym rozrzewnieniem garstkę zostających z myślą o tym, że kto wie, która część wyciągnęła lepszy los na loterii wojennej.

Już! Kasztanka wyciąga ku mnie swój łysy łeb, szukając w moich rękach chleba. Na drogę przed zaroślami wyciąga się

kolumna piechoty, która ma ze mną maszerować. Oglądam ludzi — twarze niewyspane, kaszel głuchy często rozlega się w szeregach, lecz oczy wesołe. Już wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, że idziemy przed front, uśmiecha się im awantura. Na czele kolumny Śmigły, który wydaje jeszcze jakieś ostatnie polecenia. Jazda! Ruszamy!

Idziemy na razie w kierunku, że tak powiem, nieprodukcyjnym dla powziętej decyzji, — w kierunku północno-wschodnim, w stronę Żarnowca. Tak iść muszę, o ile chcę dzisiaj wypełnić poruczone mi zadanie. Droga prowadzi borem. Naprzód wysuwa się mała awangarda. Zatrzymuję się, by raz jeszcze obejrzeć kolumnę stracenców. Jestem nadzwyczajnie zadowolony. Minęliśmy forpoczty austriackie: jestem wolny, jak ptak w niebiesiech, jak ongiś w cudownym marszu na Kielce. Wolny i panuję nad szmatem rodzimej ziemi. Jak daleko sięga kula z karabinów moich żołnierzy — to wolna, niezależna Polska! Rozpiera mnie rycerska duma, gdy cudowne, wychowane przeze mnie żołnierzyki przechodzą twardym krokiem przede mną. Nie ściga mnie przekłeta zmora — zmora myśli o hekatombie z nas, rycerzy, na rzecz budzenia ducha w nierycerskim, niewolniczym narodzie. Gasi wszystko poczucie rozkoszne swobody i niezależności.

To samo uczucie spostrzegam u żołnierzy: idą wesoło, pomimo zmęczenia. Jesteśmy sami, bez obcej opieki. Ba! lecz co widzę? Za batalionami idą dymiące się kuchnie, ciężko dudniąc po korzeniach na drodze. Wygodnisie! Pomimo zakazu, żeby nie brać wozów, wzięto kuchnie. Najwygodniejsi — III i V batalion — ciągną za sobą nawet po dwie sztuki. Wołam do siebie komendantów batalionów i, choć mnie samego śmieszy ta sprawa, robię groźną minę. Tłumaczą się biedacy gęsto: nie zdążono przed wymarszem zjeść śniadania, można będzie je, jak trzeba, z najbliższego miejsca odesłać, zresztą — tak trudno bez kuchni! Machnąłem ręką — niech idą!

Koniec lasu; na horyzoncie szereg pagórków, pod nimi szeroka droga, schodząca do wsi Strzegowa. Na skraju jej widać już kręcących się naszych beliniaków. To jest cel na razie mego marszu. Stąd pójdą we wszystkie strony macki-patrole. Gdy się okaże potrzeba, podsunę się jeszcze dalej w stronę Żarnowca. Wydaję rozkazy:

— Kwatera moja na plebanii. We wsi zostają dwa bataliony: III i V. III ubezpiecza na północ, V na południe. I maszeruje dalej na wzgórze, ubezpiecza na wschód i daje pomoc, jeżeli się okaże potrzeba, kawalerii. Ta wysyła dwa większe patrole pod Żarnowiec: jeden podejździe od wschodu, drugi od

południa. Meldunki do I batalionu, stamtąd do mnie. Dwa inne patrole pójdą z Beliną przez Wolbrom — jeden pod Miechów, drugi pod osobistym dowództwem Beliny ze specjalną instrukcją.

Belinie zaś na stronie daję instrukcję, by sprawdził moją teorię o korytarzu, idącym na południo-wschód. Idzie o to, by zrobił wywiad na front austriacki możliwie daleko na południe od nas. Czekać ma na mnie z meldunkami w Wolbromiu, gdzie mam nadzieję być wieczorem. Belina otworzył na mnie szeroko oczy. W krótkości wytłumaczyłem mu, o co idzie. Oczywiście mu się zaiskrzyły i jego zacięta, kozacka twarz nabrała charakteru nieprzewyciężonego uporów. Paliła mnie jednak niecierpliwość, dodałem więc, że jeżeli nadaży przed wieczorem, ma mi wysłać meldunek tutaj, do Strzegowej.

Na plebanii było przyjemnie i wesoło. Inteligentny, wesoły, młody proboszcz robił honory domu, goście byli niewybredni i pełni humoru. Co do mnie, postanowiłem był nie myśleć nic o dalszych planach — bałem się tego piekła wątpliwości, które powstaną natychmiast, gdy zacznę analizować położenie. Pomimo jednak tego postanowienia czułem, że gdzieś w duszy odbywa się prawie podświadome pasowanie się z sobą, jakaś praca, szukająca ujścia. Nie dziwota. Decyzja była na wskrós polityczna i tylko z tego punktu widzenia uzasadniona, wojennie była nonsensem i szaleństwem, tym bardziej, gdy została powzięta z tak małymi danymi o nieprzyjacielu. Wiedziałem zaś, że szaleństwo powiększyłem co najmniej parokrotnie przez pozostawanie tutaj, w Strzegowej, przez ten wesoły dzień 9-go listopada. Gryzły mnie znowu wyrzuty sumienia za «półdecyzję» i bałem się, by ona, jak wczoraj przy Lgocie Wolbromskiej, nie zemściła się na wojsku. Decydującą rzeczą dla dalszego marszu była szerokość korytarza pomiędzy armiami. To też i podczas rozmów, i wtedy, gdym słuchał księdza, który mi odczytywał notatki, robione podczas wojny, — coś w rodzaju kroniki parafialnej — robiłem w myśli wciąż obrachowania.

Patrole musiały już zrobić minimum 4—5 kilometrów na wschód, nie słyhać dotąd strzałów, nie ma i meldunków, więc dzisiaj korytarz zupełnie wolny ma co najmniej 15 kilometrów. Dzisiaj więc mógłbym przejść nim minimum 30 kilometrów — przypominał mi się wyrzut sumienia — byłbym prawie pod armatami Krakowa. Jutro, gdy w ten korytarz wejdzie kawaleria, tak duży marsz będzie niepodobieństwem. Potyczki, zatrzymania, obejścia zajmą dużo czasu. Będę coraz bardziej odciskany na zachód do frontu austriackiego i czy nie

skończy się wszystko tym, że zamiast, powiedzmy, spokojnego powrotu odcinkiem swojej 46-ej dywizji, nie będę wciśnięty przed dojściem do Galicji do frontu innej dywizji. Znowu skutki pół-decyzji. Usprawiedliwiam samego siebie, że przecież nie mogłem nie wypełnić poruczonego zadania, opanowywał mnie strach, że w ten właśnie sposób postawiłem na kartę być może setki żyć z takim trudem sformowanych żołnierzy młodej Polski, drżącej do życia i nie chcącej gnić w upokorzeniu i niewoli. Ha! wreszcie raport! Od Kuby-Bojarskiego, komendanta I batalionu: «Na wschodzie słychać trochę dalekich strzałów, wysunąłem trochę naprzód ku Żarnowcowi jedną kompanię, poza tym wszystko spokojnie».

Więc nieprzyjaciel jest! Korytarz nie jest szeroki! I moje pesymistyczne przypuszczenia co do jutra mogą mieć rację. A już skądś z dna duszy wylaniał się był promyk nadziei, że korytarz jest szeroki, że patrole dojdą do Żarnowca bez strzału. Cichy jesienny dzień, wesoła gościna tak niewojennie usposobiała, że się nie chciało wierzyć w istnienie nieprzyjaciela. No, trudno!

Daję avizo III i V batalionom, że o pół do trzeciej nastąpi wymarsz. Jemy obiad i idziemy na połączenie z I batalionem. Deszcz trochę kropi, a my drapiemy się po błonistej drodze na pagórek, gdzie u jakiegoś folwarku rozłożył się I batalion. Chcę pokazać nieprzyjacielowi większe grupy piechoty przed wieczorem, by go uczynić ostrożniejszym w jutrzejszym pochodzie.

U Bojarskiego zastaję meldunki z obu patroli z pod Żarnowca. Oba jeszcze przed Żarnowcem spotkały nieprzyjacielskie patrole i miały z nimi potyczki. Południowy patrol przysła papiery i część munduru podoficera kozackiego, zabitego w potyczce. Więc Żarnowiec jest zajęty przez silniejszy oddział jazdy, a z opowiadań ludności wynikałoby, że ma tam przyjść na wieczór piechota. Ale cały skarb to papiery podoficera 1-go sybirskiego pułku kozaków.

Jakiś inteligentniejszy chłopak. Obszernie, choć nieortograficznie spisywał w notatniku dzień za dniem kronikę wypadków. Łatwo z tego skonstatowałem, że mam przed sobą jeden z sybirskich korpusów — numeru w tej chwili nie pamiętam — bo cała marszruta od Wisły była w tej kroniczce spisana. Biedny, nie zobaczy już swej śnieżnej ojczyzny!

Mam więc teraz doskonały materiał dla swego raportu do dywizji. Sprawa w tej części terenu zupełnie wyjaśniona:

— Taki a taki korpus sybirski w marszu w kierunku południowo-zachodnim awangardą swoją dotarł wieczorem 9-go listopada do Żarnowca. Patrole z 1-go sybirskiego pułku koza-

ków minęły Żarnowiec, zostały przez nasze patrole ułańskie po kilku udanych potyczkach odparte z powrotem. W Żarnowcu, według opowiadań mieszkańców, na wieczór spodziewana jest piechota. Papiery zabitego podooficera kozackiego załączam.

Tak mniej więcej brzmiał mój raport. Dodałem do niego, że zadania swojego nie uważam za skończone i dla wyjaśnienia sytuacji pod Miechowem, maszeruję na południe od wielkiego gościńca Miechów—Wolbrom.

Przez chwilę brała mnie szalona chętka uderzenia w nocy na Żarnowiec. Ten brawurowy projekt męczył mnie co najmniej pół godziny. Było to, że tak powiem, w logice robionego przeze mnie w tej chwili zadania — wywiadu, — jego najlepszym dopełnieniem. Lecz słyszałem «wołające mnie duchy w inną stronę», przyznaję jednak, że musiałem z sobą trochę walczyć, by od tego projektu odstąpić.

Wreszcie zapada zmierzch. Patrole wróciły, napełniając nasze obozowisko opowiadaniem o wrażeniach z potyczek. Odmarsz. Kolumna się formuje, biorę przewodników i marsz do Wolbromia! Droga jest nużąca — błotnista, pełna jakichś jam i wybojów, tym przykrzejszych, że jest ciemno. Kolumna wyciąga się straszliwie, raz po raz trzeba się zatrzymywać, żeby ją ściągnąć. Maszeruję, że tak powiem, w obszarze wpływu nieprzyjacielskiego, muszę więc trzymać w nocy cały oddział ściągnięty w garści. Wraz z nadejściem ciemności bierze górę znużenie. Słyszę za sobą apatyczne chlapanie błota, ciche przekleństwa, nie czuję w kolumnie życia, tylko rezygnacyjne zmęczenie. A przed nami jeszcze spory kawał drogi, jeśli mamy w marszu przez korytarz odpowiednio wykorzystać osłonę nocy.

Nareszcie zaczęły majaczyć w ciemności pierwsze chaty Wolbromia z mnóstwem zaplątanych płotów. Wchodzimy do miasteczka, przechodzimy przez nie i zatrzymuję kolumnę u wschodniego wyjścia. Ogłaszam, że daję godzinę wypoczynku. Jestem znowu prawie w tym samym miejscu, gdzie dnia poprzedniego powziąłem szaloną decyzję. Spotykam ułanów, patrol z Miechowa. Dowódca składa mi raport: nie spotkał nigdzie nieprzyjaciela, był o kilka wiorst od Miechowa, od ludności wie, że Miechów jest zajęty przez silny oddział ze wszystkich gatunków broni. Naprawiają mosty. W okolicy jakoby kręcą się kozacy, lecz ich nie widział. Beliny dotąd nie ma, jeszcze nie wrócił.

Więc i tu mój wymarzony korytarz istnieje. Trochę mi nie pasuje fakt, że w Miechowie już jest artyleria, więc osłona musi być gdzieś blisko od nas, ale pocieszam się, że mogą to być

armaty przy konnicy. Zresztą główną drogę, gościniec Miechów—Wolbrom, porzucę jeszcze w nocy. Siedząc w ciepłej chałupie, wybieram na mapie drogę i miejsce przyszłego odpoczynku. Jeszcze raz przeklinam brak lasów po drodze, mierzę przestrzeń i decyduję się na Buk dla krótszego odpoczynku, na Czaple Małe dla dłuższego postoju z obiadem. Tam zaczekam do wieczora i nocnym marszem wyjdę pod Kraków, może trochę na zachód od Krakowa. A teraz herbata i czekać na Belinę, ten przyniesie mi dane o linii austriackiej. O ile ta jeszcze istnieje — dodaję w myśli — gdyż może już armia w ciągu dnia była w ruchu na zachód i teraz rzeczywiście już jestem zupełnie samotny, znacznie bliżej do nieprzyjaciela, niż do pierwszej ochronnej linii armii austriackiej.

Zresztą teraz, gdy już rozpoczęło się wykonywanie planu, odeszły mnie wszelkie wątpliwości. Myśl pracuje tylko nad możliwie dobrym wykonaniem zamiaru, nad możliwie największym uniknięciem strat. Wychodzę przed dom — zaczyna świecić księżyc. Po jednej i drugiej stronie ulicy przy ścianach szeregi ciał: żołnierze ze zmęczenia padali wprost w błoto i zasypiali natychmiast. Oficerowie, jak zórawie na straży, chodzą koło żołnierzy, gotowi w każdej chwili budzić śpiących. Upewniam się, czy spełniono mój rozkaz, aby na miasteczko wysyłano po sprawunki ludzi tylko pod komendą oficerów. Tak jest, jestem spokojny, nie rozpełźnie się moja gromada. Aha! wracają z tych poszukiwań! Rozlegają się śmiechy, z daleka czują miły zapach świeżo upieczonego chleba.

Istotnie wszystkie patrole aprowizacyjne wracają ze śmiechem, obciążone chlebem, papierosami, nawet bułkami.

— Obywatelu Komendancie! — raportuje mi jeden, ledwie wstrzymując się od śmiechu. — Dla Moskali było przygotowane — a my zjemy. Byli tu kozacy, uprzedzali, że przyjdą, kazali napiec chleba. Jeszcze dużo zostało, nie mogliśmy wszystkiego zabrać.

Komendanci batalionów proszą, bym pozwolił zabrać wszystko — rozdadzą ludziom, wezmą resztę na kuchnie. O chleb jest trudno dosyć, a ten «moskiewski» tak doskonale pachnie. Pozwalam, bo zresztą Beliny wciąż nie ma. Wszystko jedno, trzeba czekać!

Oryginalnym jest wygląd takiego «neutralno-korytarzowego» miasteczka. Jedni panowie już wyszli, drudzy jeszcze nie nadeszli. I biedni «neutraliści» rachują swe grzechy przed nowym panem, grzechy, które były zasługami przed tym, co już odszedł. Psychicznie już wszyscy są wciągnięci w orbitę panowania tego, który nadejdzie. A gdy tymi, którzy mają nadejść,

są tacy łupieżcy, jak kozacy — tych zaś oczekują przede wszystkim — szykują biedacy zawczasu środki do ulaskawienia hordy. Więc chleb, więc papierosy, ba, cukierki! Nic dziwnego, że tacy naruszycciele «neutralności», jak my w tym wypadku, jesteśmy całkiem niewygodni. Więc miasteczko przyjmuje nas zamkniętymi drzwiami, na głucho nieledwie zabitymi okiennicami, niechęcią zrozumienia naszych żądań i życzeń. Trzeba być brutalnym, by zmusić do ustępstw. To też i w tym wypadku chleb był nieledwie zdobyty szturmem, groźbą, bagnietem, czy kolbą. Dla mnie jednak miało to odgradzanie się «neutralnych» dobre strony. Nikt nas nie obserwował, nikt nie liczył. Mogło nas być dziesięć, dwadzieścia tysięcy równie dobrze, jak trzystu, czy dwustu, nikt o tym nic dokładnego powiedziećby nie mógł.

Godzina, wyznaczona dla odpoczynku, minęła, a Beliny wciąż nie ma. Niecierpliwie się, lecz czekam. Nie chcę go pozostawić w niepewności, co ma robić, gdy tu do Wolbromia nadejdzie. A czas upływa, czas tak drogi dla mnie w tej operacji. Decyduję się czekać tylko do wpół do jedenastej — jeszcze pół godziny. Zresztą zostawię mu patrol ułański.

Wreszcie i ten czas minął. Daję rozkaz formowania kolumny. Radzą mi wziąć przewodnika. Nie chcę — jutro rano muszą tu już być kozacy, nie chcę pozostawiać za sobą śladów, zresztą księżyc już jest na niebie, a pierwsza część drogi taka wyraźna — duży szeroki gościniec do Miechowa.

Wreszcie wszystko gotowe — wymaszerujemy. Wysuwam się ze sztabem na szpicę, nikt bowiem poza nami kilku w sztabie nie wie właściwie, dokąd i po co idziemy. Gdy wyjeżdżam na czoło kolumny i mijam kolumnę, słyszę zdziwione szepty: «Do Miechowa!» Czuje, że w ludziach sen mija tak, jak i u mnie, wiedzą, że się rozpoczyna jakaś niesłychana awantura — oddalamy się coraz bardziej od austriackiej armii, maszerujemy w kierunku Moskali.

Czy jest większa rozkosz dla żołnierza, jak marsz w kierunku nieprzyjaciela? Wszystko jest niewiadomym i pełnym tajemnic, wszystko pełnym groźby i niespodzianek. Szarżąca grupa drzew, łagodny pagórek, romantyczna zagroda — wszystko stanowi przedmiot zagadek i łamigłówek. Co prawda, marsz nasz był wyjątkowym. Oderwany oddziałek, mucha wobec ogromu słońca, ku któremu posuwaliśmy się różnym krokiem, mucha bez żadnego oparcia i pomocy znikąd. Lecz tym silniejsze i ostrzejsze były wrażenia. Będąc dowódcą większego oddziału, nie pracowałem z natury rzeczy nigdy na czele oddziału, jako pierwsza macka, badająca przestrzeń. Więc teraz,

gdy szedłem prawie w szpic, miałem rozkosz podwójną. Ciężkim ołowiem leżące na duszy poczucie odpowiedzialności za całe przedsięwzięcie, za parę tysięcy żyć, rzuconych przez mój marsz na kartę, znikło, ustąpiło przed rozkoszą rozstrzygnięcia tych drobiazgów taktycznych, które nasuwał ustawicznie nasz marsz ku Miechowowi.

Cudowne! Głowa zimna z poczucia, że się ma siebie zupełnie w cuglach. A zarazem podłoże psychiczne rozgorączkowane, zmuszające serce bić żywiej, pędzić do mózgu fale krwi gorącej, trzymane jednak tak cudownie silnie na wodzy przez zimne postanowienie, przez chłodną kontrolę i analizę. Myśli się szybko, wyraziście, z jakąś zimną stanowczością. Zapomina się o wszystkim na świecie, oprócz celu, który się ma, i krytyki środków, które się nasuwają dla osiągnięcia jego.

Idziemy szeroką drogą, wyjeżdżoną wczoraj przez cofające się wozy i artylerię. Żeby cofać się prędzej, wytarto na otaczających polach nowe drogi, które to się zlewają w jedną, to znowu rozchodzą się dla objazdu jakiejś przypadkowej przeszkody, która się podczas marszu nadarzyła. Na prawo od nas z dala bucha ogromem światła jakaś fabryka. Wśród ogólnej ciszy i ciemności te snopy światła, świadczące o życiu ludzkim, świecą mi jakoś beczelnie i złowrogo. Mam dosyć powodów do unikania teraz światła i wzroku ludzkiego, więc bezwiednie, instynktownie przy każdym spotkaniem objeżdżcie biorę się na lewo, dalej od fabryki. Za sobą słyszę równomierny tupot piechoty. Cicho w szeregach, odczuwam jednak nie martwą ciszę zmęczenia, lecz napiętą, rozbudzoną ciszę ciekawości i gotowania się do walki.

Wkrótce przeciąć musimy tor kolejowy, potem zaraz wchodzimy w las, a potem... potem owa zagroda, przy której skręcamy na południe, w kierunku Krakowa. Jeśli prawdą jest, że Miechów jest zajęty przez silniejszy oddział, to tam może stać już jakaś placówka. Tam więc otrzymam pierwsze dane dla sądu, jak jest z moim korytarzem. Maszerujemy już sporo czasu — sprawdzam — już więcej, niż pół godziny — prawie trzy kwadranse, a dotąd toru kolejowego nie ma. Idziemy dalej, zaczynam się niepokoić. Co u licha ciężkiego!

— Szefie! Czy nie spostrzegacie, że idziemy jakaś błędną drogą? — mówię do Sosnkowskiego. — Dawno powinniśmy byli przejść przez tor kolejowy!

— Już od dłuższego czasu o tym myślę, — odpowiada Sosnkowski — ale może to jakiś większy tyłko objazd.

Niepokój wzrasta. Przy pierwszym kroku niepowodzenie.

— Czegoś był zanadto ostrożny, — robię sobie wyrzut — trzeba było wziąć przewodnika!

Oglądam się dokoła. Wszędzie trochę pofalowana równina, ani śladu jakiegoś domostwa, tylko w prawo za nami zło-wrogo błyszczą ślepie fabryki. Wreszcie majaczeje przed nami skraj lasu. Decyduję zatrzymać się w lesie i zorientować się w położeniu. W każdym razie wiem, że nasza istotna droga jest od nas na prawo i za torem kolejowym. Łatwo będzie ją odnaleźć. Zmarnujemy tylko znowu sporo czasu.

Podchodzimy do lasu i trochę dalej rozlega się szczeka-nie psa, więc jakieś osiedle. Zatrzymuję kolumnę i z kilku ofi-cerami idziemy do chaty. Pies ujada wściekle, szturmujemy do drzwi i do okien. Po długich pertraktacjach wychodzi młody chłopak, ogląda nas ze zdumieniem i z pewnym wahaniem od-powiada na pytania.

Istotnie zbłądziliśmy. Poszliśmy drogą na stację Miechów, więc w kierunku północno-zachodnim. Na nasz gościniec wyjść można bez wozów nawet względnie blisko, ale z wozami trzeba wracać na przejazd kolejowy. Tak, niedaleko, jakaś wiorsta lub półtorej. Z chaty już powyłaziły jakieś baby. Zaczyna się tłumaczenie drogi, jak zwykle, bardzo zawile, kręcące się koło przedmiotów, doskonale im znanych, lecz dla nas będących ja-kimś X-em.

Ten błąd przy pierwszym kroku, to zawracanie znowu w stronę Wolbromia, robi jakąś atmosferę zniechęcenia i nie-powodzenia. Może niesłusznie, lecz odczułem ją, jakby idącą od mego otoczenia. Zbieram do garści nerwy.

— Chłopcze, poprowadzisz nas do drogi na Miechów, zbieraj się, idziemy zaraz!

Baby w płacz, matka chłopca rzuca mi się do nóg, obie-cuje prowadzić sama. Chłopiec targuje się z nią. Nie znoszę tych scen, tych niepotrzebnych męczarni ludności bezbronnej, nie wojującej. Jestem, zdaje się, za mało bezwzględny.

Śmigły przerywa dyskusję, woła paru żołnierzy i ci przy-stępują do chłopca. Baba zrozpaczona oświadcza, że i ona pó-jdzie razem, i jeszcze raz prosi, by nie potrzebowali prowadzić nas dalej, jak tylko do drogi. Dalej do Miechowa trafimy sami, droga tam szeroka i idzie wciąż lasem.

Ruszamy i wykręcamy na jakąś boczną drogę, przez jakiś przeklęty rów, gdzie kuchnie dudnią od przerażenia, a wszy-sczy woźnice i kucharze klną, co się zmieści. Idziemy z powro-tem i przeklętą fabrykę mamy znowu przed oczami. Ha, na-reszcie budka kolejowa! Koło kolei, jak wierne straże, biegną słupy telegraficzne z poodcinanymi drutami, które żałośnie ję-

czą pod stopami naszymi i kopytami koni. Jeszcze trochę i jesteśmy na naszej drodze. Patrzą na zegarek i obliczam. Straciliśmy, minimalnie licząc, dobrych dwie i pół godziny! Nie dopuszczam do siebie pesymizmu, klepię po szyi kasztankę, mrucząc:

— No, dzisiaj ty swych Czapel Małych nie zobaczysz!

Kasztanka stamtąd pochodzi i ciekaw byłem, jak się będzie zachowywała, gdy po tyłu wędrownkach, niespodziewanych dla wiejskiej, rozpieszczonej klaczy, ujrzy rodzime pola i zagrody.

Maszerujemy lasem; pali mnie ciekawość, co spotkamy przy zagrodzie na skrócie naszym z wielkiej drogi na południe. Wreszcie mającej i zabudowania. Wstrzymuję kolumnę i chcę jechać. Lecz na cuglach spoczęła ręka Śmigłego.

— Komendancie! Nie wolno! Ja prowadzę awangardę, to mój obowiązek. Proszę poczekać!

Kochany Śmigły! Kiwam głową na znak zgody i zostaję przy kolumnie. Z pamięci wyskakuje mi nagle Kraków i salka wykładowa w «Strzelcu». Pamiętam, gdym, zwariowany na punkcie studiów wojny japońskiej, wykladał swym uczniom sławny nocny atak 10-ej dywizji na «Sopkę o dwóch rogach», jeden z bohaterskich czynów japońskich, który wzbudzał mój zachwyt. I zawsze przy tym wykładzie, jako przykład rozumnej organizacji i wewnętrznej dyscypliny Japończyków, przedstawiałem wypadek z marszałkiem Nodzu, komendantem tej armii, do której należała atakująca 10-ta dywizja.

Marszałek Nodzu, zaniepokojony strzałami, wpadł do wsi, przez którą maszerowali Japończycy i szły kule rosyjskie: chciał być bliżej wypadków. I tam komendant dywizji po złożeniu raportu zażądał, by marszałek się usunął, bo «odkąd to dowódca armii ma być w linii ognia»? Nodzu usłuchał. Przedstawiałem ten wypadek zawsze, jako przykład zdrowego stosunku pomiędzy wodzem a podwładnymi, gdzie wódz musi i umie uszanować nie tylko granice obowiązków, ale i praw swych podkomendnych. Teraz mój uczeń, Śmigły, przywołał mnie do porządku.

Po chwili raport: «Droga wolna, pusto, nikogo nie ma». Gotów jestem skakać z radości. Korytarz jest i tutaj! Ba, w tym miejscu nawet jakby szerszy, niż w kierunku Żarnowca. Więc prawdopodobnie istotnie front austriacki idzie w kierunku południowo-wschodnim. Skręcamy w las i boczną drogą, dosyć stromo idącą, wdzieramy się powoli na pagórek. Trzeba dać odpoczynek, trzeba ściągnąć kolumnę.

Korzystam z okazji i przed wyjściem z lasu, raz jeszcze oglądam mapę oraz robię obliczenia.

Jest trzecia czterdzieści, za dwie godziny świt będzie dobry, trzeba będzie ludziom dać przyzwoitszy wypoczynek, bo gdyby nawet optymistycznie obliczać mój korytarz, jednak trzeba rachować na potyczki z kawalerią. Muszę mieć ludzi choć trochę wypoczętych. Z tak zmęczonymi ludźmi nie przejdę więcej w te dwie godziny, jak sześć kilometrów, może siedem. Mierzę na mapie: nie, do Czapel nie dociągnę. A jednak byłoby to tak dobrze! Jest dwór i to duży, można byłoby go zająć, tak, by wszystko było i pod dachem, i w kupie. I taki kawał drogi już mielibyśmy za sobą! Może się dowlec tam z odpoczynkami? Jeszcze jeden rzut oka na mapę! Przyciąga mój wzrok zielona plama w pobliżu — jedyny las w tej okolicy. Ulina Mała! Lubię lasy! Ukrycie dla słabego! Kto wie? Decyduję! Jako cel — Czaple, nie uda się — Ulina Mała.

Idziemy dalej. Błoto na drodze ciężkie. Konie i ludzie strasznie strudzeni, więc wleczeni się ospale. Oglądam okolicę przy zbliżającym się pochmurnym świecie. Jesteśmy wciąż na zboczach, łatwo dostrzegalni z traktu Miechów—Wolbrom, który się wije białą taśmą na dole. Kręta, wąska drożyna, którą maszerujemy, wchodzi do Buka; początki tej wsi są już widoczne. Dobrze byłoby dać się ludziom we wsi zatrzymać trochę; znajdzie się pewno tam mleko, a zresztą chociażby woda. Lecz już jest dzień, a każda boczna osłona oddziałów, maszerujących po gościńcu, musiałaby o Buk zawadzić. Więc lepiej nie — wlec się trzeba dalej. Wyjeżdżam naprzód do wsi: teren ku południowi opada, widać z dala wieś, ciągnącą się od wschodu do zachodu, za nią ciemna ściana lasu i zarośli. Wschodni skraj wsi jeszcze jest na górze, przez lornetkę widzę, że jest to coś w rodzaju folwarku. To Ulina Mała!

Wyjeżdżam w opłotki wsi. Ludziska już powstawali, oglądają ze zdziwieniem «Austryjoków», kiedy według, słusznych zresztą, ich obrachowań, nie powinni by oni znajdować się teraz w tym miejscu. Dzieci z ciekawością wyglądają z poza węglów chat, psy ujadają. Prawie w środku wsi widzę, jak kobieta jakaś, otoczona dziećmi, z chwilą, gdy nas zobaczyła, zakryła oczy rękami, przysiadła na przyźbie i zalewa się rzewnymi łzami. Przy niej stoi stary dziad, filozoficznie pykając z fajki. Po zbliżeniu się do tej grupy, zsiadam z konia. Interesuje mnie ta nagła rozpacz kobieciny, a zresztą muszę zasięgnąć trochę języka.

— Czego, kobieto, płaczecie? — mówię do niej. — Uspokójcie się! Nic się wam nie stanie!

Żadnej odpowiedzi, tylko płacz jeszcze silniejszy. Dzieci chowają się za spódnicę matki i stamtąd wysyłają ku mnie na pół przerażone, na pół rozciekawione spojrzenia swych chabrowych oczek. Zwracam się do dziada z tym samym zapytaniem. Dziad milczy i filozoficznie spluwa. Proszę o wodę. Przez łzy kobieta każe starszemu chłopakowi przynieść wody, ba, proponuje mleko, lecz rozpacz jej się nie zmniejsza. Pytam o miejscowość.

— Czy to Ulina Mała tam, w dole?

— Ulina, panie, Ulina!... — odpowiada z płaczem.

Przynoszą mi wodę i mleko. Kolumna zbliża się ku mnie. Daję rozkaz maszerowania dalej, bez zatrzymywania się w Buku. Patrzę na ludzi. U chłopców strasznie pomęczona twarze, jakieś szaro-ziemiste, oczy podkrążone patrzą na mnie z niemą, błagalną prośbą. Uspakajam ich, mówiąc, że wkrótce odpoczną, i wracam do grupy przed chatą. Kobieta wciąż płacze, daję jej spokój i, pijąc mleko, wszczynam rozmowę z dziadem.

— Moskale jeszcze u was nie byli? — pytam dziada.

— A jakże, panie, byli! — odpowiada — wczoraj po południu byli kozacy. Byli u nas, byli ot tam, w Ulinie Dużej. Byli!

Powoli dowiaduję się, że był tu znaczniejszy patrol, kręcił się po całej okolicy i... poszedł dalej na zachód. Nie chce mi się wierzyć, pytam raz jeszcze, nastaje i nie wiem, czy pod wpływem mojej natarczywości, czy z innego powodu dziad zgadza się z moimi wewnętrznymi chęciami, że kozacy wrócili w stronę Miechowa.

Nie dowiedziałem się, z jakiej racji płakała baba, która wdzięcznie zresztą spojrziała na mnie, gdy m pogłaskał jej dzieci i spytał się o ich imiona. Czy kobieta bała się, że tu, w cichym Buku, rozpoczną się boje i jej rodzima chata padnie ofiarą na ołtarzu Molocha-wojny, czy strach o dzieci łzy jej wyciskał, czy wreszcie łzy lała z powodu nas, żołnierzy, — nie wiem. Nie pytałem dalej, bo gadania dziada o kozakach rzuciły moje myśli w inną stronę.

Moja piękna przesłanka o korytarzu, z której logicznie plan swój wysnułem, otrzymała nagle cios poważny. Już w c z o r a j w tym korytarzu byli kozacy, gdy ja oczekuję ich tutaj dopiero dzisiaj w południe. Coś mój korytarz nagle się zwęził. Nawet, gdyby istotnie kozacy cofnęli się do Miechowa, to w każdym razie znaczyłoby to, że tutaj armia rosyjska o jakie dobre pół dnia, jeśli nie cały, jest zaawansowana w porównaniu z tym, co widziałem na północy.

Z niepokojem w sercu spieszyłem do wojska. Trzeba dać

natychmiastowy, dłuższy odpoczynek, co najmniej 5—6 godzin. Ulina do tego się nadaje, mam trochę lasu dla osłony dalszych poruszeń. Ale trzeba być ostrożnym, trzeba się pilnować.

Każę I batalionowi zająć folwark na górze. Bojarskiemu, dowódcy batalionu, tłumacząc położenie, nakazuję ostrożność i stałe obserwowanie całego terenu naokoło. Spodziewam się nieprzyjaciela od wschodu, więc właśnie na nim, na Bojarskim, spoczywa odpowiedzialność za spokój i odpoczynek, którego tak potrzebujemy. Żadnej niepotrzebnej strzelaniny! Strzelać tylko do takich patroli, które wyraźnie do Uliny zacierają, i to przypuszczając je możliwie blisko. Ludzi ukryć tak, by z daleka nie mogli być zaobserwowani, żadnych patroli na zewnątrz, nikogo z ludności nie wypuszczać, wszystkich nadchodzących przysyłać do mnie do zbadania. Meldunki o najmniejszych spostrzeżonych rzeczach!

Bojarski saltuje, wypowiada sakramentalne — «Według rozkazu!» i podkręca czarnego wąsika. Jestem spokojny. Bojarski jest służbiście, nie zawiedzie. Porzucam więc poprzedni zamiar zakwaterowania się samemu przy Bojarskim. Lepiej być przy gros swoich sił. We wsi kwaterują III i V bataliony, które otrzymują te same rozkazy; na zachodnim krańcu wsi — kawaleria.

Rozumiałem, że w moich rozporządzeniach jest poważna luka. Las był, co prawda, zbawieniem, ale też i słabą stroną. Nie kazałem badać lasu, ani posiadania jego sobie zapewnić. Kilka razy chciałem jeden z batalionów umieścić w lesie. Zawsze jednak cofałem się przed myślą, że w ten sposób zmuszę tak zmęczonych ludzi do biwakowania i nie dam im odpocząć porządnie pod dachem.

— Zresztą — myślałem — jestem tu parę godzin tylko. Niebezpieczeństwo grozi mi od wschodu, a tam wejścia do lasu obserwuje Bojarski, a u końca wsi, przy wyjściu do lasu, na południe, stoi warta V batalionu. Zawsze będzie czas zaalarmować ten batalion i las opanować. Teraz pierwsza rzecz, to trochę spoczynku, drzemki i posiłku.

Gdy po ciężkim błocie na ulicy wiejskiej wszedł do kwatery, już przez sztab zajętej, znalazłem wszystkich pogrążonych we śnie. Każdy położył się, jak mógł, — Sosnkowski leżał na łóżku tak, że głowę miał niżej, niż nogi. Kasprzycki, na wpół siedząc, nawpół leżąc, spał w najniwygodniejszej pozycji. Paru oficerów ordynansowych leżało wprost na podłodze z plecakami pod głową. Za drzwiami izby ordynansi targowali się z gospodynią o posiłek.

Siadłem przy stole, bo czułem, że nie zasnę. Z chwilą, gdy nie miał przed sobą szerokiej przestrzeni, gdy mózg przestał pracować nad szczegółami terenu, wracał niepokój, wracały wątpliwości, zwiększone obecnie przez rozmowę z dziadem w Buku. Może oderwać się od tych myśli i pójść sprawdzić kwaterunki i warty? Lecz jestem tak piekielnie zmęczony, że sama myśl o przejściu po tym błocie wzdłuż wsi przeraża mnie; zresztą tacy tędzy oficerowie, jak Śmigły, Bojarski i Zwierzynski, musieli rozkazy skrupulatnie wykonać, a tu mogą nadeşć meldunki. Lepiej już zostać ze swymi myślami.

Przewracam w głowie plan dalszego marszu. Jest godzina prawie ósma, najpóźniej o pierwszej wymarsz. Więc o dwunastej wyśle patrole, by oświetlić drogę. Trzy patrole: jeden na Czaple, na wschód, drugi na Wiktorkę i Władysław, na południo-wschód, trzeci w kierunku Skały, na południo-zachód. W zależności od ich meldunków wybiorę drogę. Strach mnie bierze, że może niebardzo będę mógł wybierać. Na myśl przychodzi Belina. Dlaczego nie był w Wolbromiu na umówionym «rendez-vous»? Czy nie stoi to w związku z rewelacjami dziada? Może został wciśnięty do frontu austriackiego? Ale wtedy gdzie, u licha, jest mój korytarz? Niepodobieństwo! W jakim sposob sam ze swym oddziałem wcisnąłbym się na teren, już zajęty przez nieprzyjaciela?

— A jednak? Jednak uparcie wraca pesymistyczne przypuszczenie. Przypominam sobie, że dziad na pytanie, dokąd poszli kozacy, wskazał od razu na zachód. Ba! słyszę chłupotanie po błocie koni, za chwilę brzęk ostróg i szabli, melduje się Belina we własnej osobie.

— Skąd, u licha, tak późno?

— Z Wolbromia, szkapy tak pomęczone, że ledwo już idą. Przyszedłem do Wolbromia w godzinę po odejściu Komendanta.

— No, opowiadajcie!

Więc jeździł sprawdzać front. Przez pewien czas szło dobrze, tak, jak przewidziałem. Austriacy okopują się. Potem wpadł na patrole węgierskie. Z tymi porozumieć się nie mógł. Poprostu rozmowa gęsi z prosięciem. Pomimo starań o niczym się od nich nie dowiedział. Może więc front idzie tak, jak przewidywałem, na południo-wschód ku fortom Krakowa, może i nie. Okopują się, więc może i stoją dzisiaj jeszcze — miałbym w razie przemocy niedaleki odwrót.

— Ale — dodaje Belina — tu już wszędzie byli kozacy. Komendant wie? Wredne małpy, już się kręcą, gdzie nie potrzeba!

— Czyście ich widzieli? — skoczyłem na niego.

— Nie! Ale ludzie tu wszędzie o nich opowiadają. A nas znaleźć łatwo — dorzucił — droga widoczna po przejściu kolumny, już chociażby po mnóstwie niedopałków po papierosach, rzuconych na drogę. Kiedy wymarsz? Muszę wiedzieć, jak rozporządzić z końmi.

— Być gotowym do wymarszu ciągle. Ale nie myślę wcześniej wysłać patroli, jak o pół do pierwszej. Ordynansa od kawalerii Orlicz już przysłał. Idźcie odpocząć!

Po chwili Bojarski nadesłał pisemny meldunek, że na horyzoncie od wschodu i północy widać grupki i pojedynczych jeźdźców. Ruch ich wyraźnie na zachód, ku nam dotąd się nie zbliżają. Widocznie już po drodze do Wolbromia maszeruje z Miechowa jakiś oddział. Bojarski widzi jego boczną osłonę. Oprócz tego Bojarski przysłał dwóch chłopów, którzy nadeszli z południa.

Zaczynam ich badać i od ich zeznań zaczyna mi się mącić w głowie.

Czaple Małe już wczoraj były zajęte przez Moskali, poszli stamtąd na Iwanowice. Dzisiaj rano byli tam z armatami, ci także poszli na Iwanowice. Dużo ich było. Byli i konni, byli i z armatami, na pytania odpowiadają, że byli i pieszo. Sami są z Uliny, byli w Czaplach na robocie we dworze. Pytałem każdego z osobna, zarzucałem pytaniami obojętnymi, by potem podchwycić ich na jakiejś sprzeczności. Nie, nie ma wątpliwości, mówią prawdę — to, co widzieli. Najwyżej dane o piechocie mogą być nasunięte przeze mnie osobiście, odpowiedzi zaś niejasne wynikają z nieznamości wojska.

— Mój ty mocny Boże! Gdzież się podział mój korytarz! Jak my stąd wybrniemy!? — Ciepło mi się zrobiło. — Przecież to oznacza, że idąc na południe, muszę przecinać drogi, po których już wczoraj maszerowali Moskale. Więcej! Na północy ode mnie już też maszeruje nieprzyjaciel. Jestem w środku, pomiędzy dwiema drogami ich marszu na zachód: Miechów—Wolbrom i Czaple Małe—Iwanowice. Przecież co chwila spodziewać się należy, że nie ta, to inna boczna osłona, wreszcie jakiś patrol rekwizycyjny zawita do Uliny. I wtedy?... Wtedy tak łatwo nas zmiażdżyć po prostu w kilka godzin. My — garstka bez armat i karabinów maszynowych, oni w kilka godzin mogą mieć tego wszystkiego mnóstwo.

Na potwierdzenie takiej oceny sytuacji przyprowadzają mi raz po raz włością na badanie. Nie ma żadnej sprzeczności. Coraz jaśniej i dokładniej występuje naga prawda w całej swej okropności. Jeden z badanych potwierdza wiadomości o arty-

lerii słowami: — Do Iwanowic poszły «puszki»¹⁾. Sam «sółdat»²⁾ byłem, to wiem. — W oczach jego błyska jakaś zatajona złośliwość: wie, że to zła wiadomość, rozumie moje położenie prawie bez wyjścia. Co więcej, już koło południa przyprowadzają mi chłopą, który twierdzi, że słyszał, jakoby Skala zajęta przez Moskali, że od Słomnik poszła tam wielka siła.

Rzucam się, jak raniony tygrys. Potrzebuję ruchu, przyzwyczajony do myślenia chodząc, a tu izba zawałona leżącymi w powykręcanych pozycjach ciałami. Biłbym ich ze złości. Uspakajam siebie jednak, że będą i oni mieli dzisiaj ciężki orzech do zgryzienia. Niech śpią! Ale trzeba się decydować! Biorę siebie w garść, jak umiem, rozkładam mapę i chcę myśleć.

Na razie czuję tylko szum w uszach, w oczach się mąci, skronie gwałtownie pulsują, w głowie zupełny chaos. Gdzieś z zakamarków pamięci wypływa molierowskie: — *Tu l'as voulu, Georges Dandin*³⁾.

Opuszczam głowę i parę razy powtarzam bezmyślnie: — *Tu l'as voulu, Georges Dandin*.

— Tak, chciałeś tego! Masz swą hekatombę, doprowadziłeś do niej. I to jest już cud, że ty i twoi żołnierze chodzicie po świecie! Jesteś pośród nieprzyjacielskiej armii! Rozumiesz? Mucha wobec słońca! Za chwilę olbrzymia stopa potwora zgniecie ciebie z twym oddziałem bez śladu — hekatomba będzie spełniona. Nie taka, o jakiej w swej romantycznej głowie marzyłeś, by była oną nauką dla potomności, a taka poprostu, że lichy żadne nie bardzo wiedzieć będzie, gdzie się właściwie podział Piłsudski ze swymi strzelcami. To twój los przeklęty! Tak — *tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Na razie poza wyrzutami, robionymi sobie, i poza jakimś urywkami myśli o tym, że korytarz zniknął, nic z siebie wycisnąć nie mogłem. Pierwsza zdrowsza myśl był to błysk nadziei, że może jednak tak źle nie jest, że dane od cywilów nie są może tak wiarygodne. Może posłać zaraz patrole? Już miałem zawołać ordynansa od kawalerii, by wydać rozkazy, lecz zatrzymałem się. Jeżeli optymistyczne nadzieje mają jakąś realną podstawę, to późniejsze wysłanie patroli sprawie nie zaszkodzi. Spełnią one spokojnie swą pracę równie dobrze czy o godzinie pierwszej, czy później. Jeżeli zaś, co jest najprawdopodobniejsze, muszę się rachować z pesymistyczną oceną sy-

1) puszki — armaty.

2) sółdat — żołnierz.

3) «Sam tego chciałeś». Wyrażenie z komedii Moliera, komedio-pisarza francuskiego.

tuacji, to patrole są niebezpieczne. Sprowadzą mi na głowę nieprzyjaciela, który dotąd szczęśliwie mnie omija. Nie, trzeba pozostać ze swymi wątpliwościami w duszy, i nie próbować przedwcześnie wysświetlać położenia.

Zacząłem się trochę uspakajać, głowa zaczęła pracować. Przede wszystkim spokój! Odrzucimy wszystkie tragizmy, na nie będzie czas, gdy one w całej rozciągłości przed oczami staną. Potrafię umrzeć z honorem, chociaż w niepożądanych okolicznościach, a chłopcy moi także. Trudno, taki los wojny! Rozważmy sytuację tak, jakby to było poprostu zadanie, rozstrzygane z dala od kul i nieprzyjaciela. Spróbujmy!

Więc założenie moje co do korytarza, wolnego od nieprzyjaciela od Wolbromia do Krakowa, nie sprawdziło się. Korytarz do Buki był i szedłem nim spokojnie, teraz zniknął. Może istotnie nieprzyjaciel na południe od nas naciskał silniej na armię austriacką i teraz nocnym marszem wszedłem w sferę jego działania. Zresztą obserwacje Bojarskiego dowodzą, że i na północy korytarz ten albo się zamknął zupełnie, albo znakomicie się zwęził. Jestem otoczony przez nieprzyjaciela, na to nie ma rady! Jeszcze może najłatwiej byłoby cofnąć się wprost na zachód, trochę na północ, omijając Wolbrom, trzymając się środka pomiędzy drogami, którymi nieprzyjaciel się posuwa na zachód. Moskale, jak widzę, źle się osłaniają i źle patrolują. Wyszedłbym w parę godzin na front austriacki.

Ba! front austriacki! A skąd pewność, że on stoi? Czy to posuwanie się łatwe nieprzyjaciela nie jest świadectwem, że Austriacy już się cofnęli? Słyszałbym strzały, gdyby stali na miejscu. Więc wobec tego lepiej tej myśli dać spokój, a wprost wrócić do swego postanowienia poprzedniego. Wycofywać się na rzeczy stałe, niezmiennie. Taką rzeczą jest Kraków, jako forteca; tej przecie w jeden dzień nie zajęto, musiałyby być wielka walka, a wielkie forteczne armaty słyszałbym tu także z południa.

Nie ma żadnych lasów na drodze! Nigdzie ukrycia! Dopiero gdzieś koło Słomniczek poszczególne parcele lasu. To jest bardzo zła strona obranego kierunku. Strasznie łatwo być opadniętym przez przemoc nieprzyjacielską. Każdy krok, każdy manewr prawie jak na dłoni, wszystko będzie się odbywać przed oczami kawalerii rosyjskiej, która, jeśli źle patroluje, to przecie nie spuści mnie z oka, gdy raz mnie wykryje. Lasy dadzą mi przewagę nad nią. Najbliższe większe kompleksy lasów są ode mnie na południo-zachód, w okolicy Skały. Możeby się starać tam właśnie dostać i już lasami, chociażby bez drogi, wyjść pod Krzeszowice.

Myślę nad tym długo, wreszcie odrzucam ten plan. Rachować muszę na to, co widzę u Rosjan. Słaba ich strona — źle się pilnują, źle osłaniają i źle patrolują. Trzeba to wyzyskać. Idąc ku zachodowi, idę w ślad albo może wśród ich awangardy — ta musi być najbardziej ostrożna, najbardziej czujna. Idąc trochę na wschód — ku Krakowowi — idę na spotkanie ich gros. Ci są przekonani, że ich awangarda cały kraj spatrolowała, nie mają powodu specjalnego być ostrożnymi. Łatwiej będzie nie wpaść im w oko, łatwiej się przeslizgnąć. Z Krakowem będę miał nowy kłopot. Kraków, jako forteca, flankuje przemarsz Moskali na zachód, musieli więc postawić jakąś osłonę od fortecy. Co prawda, w ostatniej wojnie bałkańskiej Bułgarzy wbrew teoriom strategicznym maszerowali o 12 km od Adrianopola, tak, jakgdyby to nie była forteca, lecz zwyczajne miasteczko. Ale wolę liczyć tu na gorszą dla mnie sytuację. Osłona musi stać poza drogą Słomniczki—Skała, na południe od niej. Więc w razie, jeśli się uda do tego miejsca dotrzeć, tam się rozstrzygną nasze losy. Trzeba będzie bagnetem otwierać sobie drogę do Krakowa. Więc ostatecznie decyduję się na utrzymanie kierunku na Kraków, a jako na ostateczność — na zwrot ku zachodowi w stronę Skały.

Teraz wymarsz. Kiedy i jak go odbyć? Naturalnie, jeśli będę zmuszony, to wyjdę w każdej chwili i to, niestety, w kierunku, który będzie nakazany przez okoliczności. Walki we wsi przyjmować nie mogę, parę granatów ją zapali. Mam do boju ten las przed sobą. Ten las! To jest mój wyrzut sumienia! Jeszcze tam ani noga mego żołnierza nie powstała. A jak ja mogę się w nim ukryć, tak samo ukryje się, może się już ukrywa w nim nieprzyjaciel. Ale jak jest, tak jest. Jeżeli więc nic nie przeszkodzi, wymaszerować muszę ze zmierzchem. Przedtem, dla oświetlenia drogi, wyślę patrole. Kolumna maszeruje przygotowana do ataku na bagnety.

Najgorszym będzie, jeżeli właśnie zostaną zmuszony do takiego ataku. Naturalnie, nagłym, niespodziewanym napadem odniosę lokalne zwycięstwo, lecz cała okolica będzie zaalarmowana, czas stracony, osaczą mnie powoli i amen, hekatomba gotowa! Ale nie ma innego wyboru!

Nie chcę twierdzić, że ta decyzja przysła mi tak łatwo, jak rozstrzygnięcie zadania w spokoju, bez myśli o kulach i nieprzyjacielu. O nie! Byłem zanadto świadom całej grozy naszego położenia, byłem zmęczony fizycznie i moralnie wskutek rozbicia się zupełnego dotychczasowej podstawy mego planu: wolnego albo prawie wolnego korytarza w kierunku Krakowa.

Czułem na całym ciele dreszcze, głowa od czasu do czasu odmawiała wszelkiej pracy, wracając do robienia sobie wyrzutów i kręcąc się, jak wiewiórka, w kole ustawicznych sprzeczności, z których, zdawało się, wyjścia nie ma. Nie chcę też twierdzić, że wszystkie moje decyzje były tak prosto wyrozumowane. Przeciwnie, nieraz zdrowa myśl wyrwała mi się z chaosu jakby bezwiednie, dając mi po prostu odpoczynek, gdyż równocześnie ciągle pracująca samokrytyka od razu uznawała podstawowość danej myśli. Było mi ciężko, tak ciężko, jak może ani razu przedtem, ani potem na wojnie. Lecz wreszcie zatrzymałem się na jakiejś decyzji, decyzji, naturalnie, obstawionej ogromem wątpliwości. Odpędzałem je pocieszaniem się, że zdążę naprawić to i owo po wyjściu patroli, gdy coś się już wyświetli i nie będę błędził w zupełnych ciemnościach. Patrole zdecydowałem wysłać o trzeciej. Wrócą one mniej więcej o godzinie czwartej — pół do piątej, akurat na zmrok jesiennego dnia, gdy przygotowywać się będziemy do wymarszu z Uliny.

Przygotowywano już dla sztabu obiad. Oficerowie zaspiani wstawali, myli się. W dotychczasowym państwie snu rozpoczął się ruch i krętanina. Mogłem już chodzić po pokoju. Sprawilo mi to znakomitą ulgę, myśli zaczęły się porządkować, podniecenie wewnętrzne uspakajając, gdy część energii znalazła ujście w mechanicznym ruchu. Wreszcie zawołałem Sosnkowskiego i Kasprzyckiego. Przedstawiłem im sytuację w całej jej groźbie i spytałem o radę. Obaj jednogłośnie i po namyśle radzili iść na zachód, w stronę lasów skalskich i olkuskich, obaj sądzili, że inny kierunek jest zbyt ryzykowny.

Nowy cios! Z takim mozołem zdobyta decyzja została przez ich zdanie zachwiana. Dałem spokój rozmowie i po dalszej przechadce po pokoju, raz jeszcze przemyślawszy swe przesłanki, postanowiłem pozostać przy swoim pierwotnym postanowieniu.

Podano do stołu. Czułem, że podczas obiadu nie ja jeden ciekawym uchem łowię szmery poza domem, z niepokojem śledząc, czy nie usłyszymy skądkolwiek strzału. Nie! Cicho i cicho! Zdawało się niekiedy, że to chyba nieprawda, abyśmy siedzieli tu, w zapadłej wioszczynie, zwanej Uliną Małą, otoczeni ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela. A czas, ten mój sprzymierzeniec w tej chwili, powoli upływał. Każdy kwadrans, który mijał bez odnalezienia nas przez Moskali, a zbliżał do upragnionych ciemności wieczornych, zwiększał stale szanse naszego ocalenia.

Bojarski słał wciąż meldunki o zjawiających się na horyzoncie w okolicy Buki kozakach. Od czasu do czasu przyprowadzono jakiegoś chłopka do badania. Potwierdzali oni raz jeszcze fakt niezbity, że jesteśmy wśród Moskali. Przyprawiono Żyda, który, jadąc do Wolbromia z wozem jabłek, zawadził o Ulinę. Żyd zanosił skargę, że żołnierze już mu część jabłek zabrali. Stargowałem cały wóz i kupiłem go dla chłopców. Po pewnym przeciągu czasu doniesiono mi, że Żyd umknął.

Już to nasi żołnierze są zanadto dobroduszeni w stosunku do niekombatantów! Ile razy obserwowałem naszych chłopców czy to w stosunku do jeńców, czy do ludności cywilnej, zawsze odnosiłem to wrażenie, że brak nam w charakterze narodowym bezwzględności. Może to i sympatyczne, ale diablo mało warte na rynku wszechświatowego «świętego egoizmu».

Zbliżała się godzina trzecia. Szef mnie pyta o decyzje. Powiadam mu, że stoję przy swoim. Kierunek na Kraków; na Skalę tylko z musu; wymarsz — jak zapadnie wieczór; teraz wysyłam patrole. Szef mruczy, wreszcie radzi, że jeśli idziemy tak ryzykownie, to trzeba zostawić tu kuchnie. Będziemy mogli swobodniej manewrować, bez dróg nawet. To jest dobra myśl! Zgoda. Uprzedzić komendantów batalionów, by wydali kolację przed wieczorem, i kuchnie zostają. A teraz wołać Belinę, pójdą zaraz patrole!

Po chwili jest Belina. Daję mu rozkaz po wyłumaczeniu położenia. Pierwszy na Czaple, drugi na Władysław. To są kierunki, którymi mam zamiar maszerować. Oba patrole winny być uprzedzone, że mają mi przysłać meldunek po dośściu do celu. Czekać mają na nas. Na podstawie tych meldunków wybiorę drogę, i wtedy jeden z nich będzie musiał, nie doczekawszy się nas, samodzielnie wycofać się na Kraków. Trzeci patrol pójdzie na zachód. Ta cisza prawie całodzienna nakazuje mi sprawdzić gawędy «cywilów». A może nie jest tak źle i będę mógł, nie ryzykując zanadto, cofać się w zachodnim i południowo-zachodnim kierunku. Odmarsz patroli zaraz. Meldunki wprost do mnie.

Dalej wymarsz. Wraz ze zmierzchem batalion jedną kompanią zabezpiecza drogę wymarszu przez las, kompania bierze z sobą paru jeźdźców dla patrolowania i meldunków. W marszu pójdzie naprzód III, potem I, wreszcie V batalion. Kolumna czwórkowa, karabiny rozładowane, ładować tylko na rozkaz. W marszu chłopcy mają się wziąć pod ręce; przy zatrzymaniach się oddziału nie wolno nikomu się kłaść; w marszu żadnych kałuż ani błota nie obchodzić, by nie rozluźniać

szeregów, a maszerować ściśniętą kolumną. Palić, głośno rozmawiać, a tym bardziej krzyczeć — nie wolno. Ja pójdę za szpicą, szef — za trzecim batalionem, a przed pierwszym — Kasprzycki na końcu kolumny piechoty.

Największy kłopot mam z kawalerią. W nocy jest mi ona prawie do niczego. Właściwie jest ona balastem i trzebaby było upodobnić ją do wozów, t. zn. wziąć ją w środek piechoty, pod jej opiekę. Ale boję się tego. W nocy konie są płochliwe, przy najmniejszym hałasie, strzałach, gotowe są rzucać się, popsuć szyk i działania piechoty. Z przykrością stawiam ułanów na koniec kolumny. Belinie zapowiadam, żeby ludzie szli przy koniach, trzymając je pod pyskiem, żeby nie rżały, ani się rzucały. Każdy bój mam zamiar rozegrać na bagnety. Pójdzie od razu III batalion, dwa inne w odwodzie, zatrzymane przez szefa. Belina jest markotny, że tak mało ufam jego jeździe. Przysięga, że ułani utrzymają konie, że nie ma się czego bać, wreszcie prosi:

— Ale, jak piechota pójdzie na bagnety, to Komendant gniewać się nie będzie, gdy my też spróbujemy szarży.

Śmieję się z jego ochoty i twierdzę, że będę zadowolony, gdy kawalerzyści utrzymają konie, tym bardziej, że oddaję im swoją kasztankę pod opiekę. Sam pójdę pieszo.

Patrole poszły. Z nerwami, napiętymi do niemożliwości, nasłuchuję, czy nie usłyszę gdzie strzałów. Każda nieledwie minuta ciszy oznacza dla mnie swobodną przestrzeń dla manewru, dla ruchu. Minut tych przechodzi sporo, zaczynam oddychać. Jest jaka taka przestrzeń. I chociaż myślę gorzko: — Jest przestrzeń dosyć szeroka dla twej hekatombi! — jednak z ulgą każę podawać herbatę przed wymarszem.

Ba! ledwiem wypił trochę gorącej herbaty, rozlega się strzał jeden, potem drugi, i to gdzieś bardzo blisko, tak, jak-gdyby we wsi. Z pasją myślę, że to pewnie ktoś z naszych wystrzelił przez nieostrożność przy rozładowywaniu karabinu. Nie! gdzie tam! wkrótce gra mi od zachodu muzyka tyralierskich strzałów, od czasu do czasu przerywana nierówną salwą. Szef skoczył, jak oparzony, z chaty. Strzały słychać z zachodu! — Jest! — myślę — i znowu wyłazi mi z pamięci ten przeklęty wiersz: *Tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Po chwili zbiegają się raporty: «Kozacy wieś atakują, kilka sotni!» «Przyszli za Wieniawą, który z patrolem poszedł do Iwanowic». Wreszcie szef przybiega — już obejrzał położenie:

— Nie więcej, jak dwie sotnie! Kozacy kubańscy w czerkieskach. Dałem rozkaz, by kompania z III batalionu rozwi-

nęła się dla obrony, atakując słabo od zachodu. Ich patrole prawie wjechały do wsi, na Belinę.

Więc chłopci prawdę mówili! Wychodzę na tylny ganek, skąd doskonale widać zachodnią część wsi, rozłożoną trochę w dole. Już zmierzcha, więc widać bardzo niedokładnie. Przez podwórze z żalonym jękiem idą zgórowane kule. Strzelanina to zamiera, to znowu trochę się ożywia, lecz z każdą chwilą stanowczo się zmniejsza. Nic, zdaje się, wielkiego nie będzie. Oby tylko te «wredne istoty» — jak mówi Belina — nie naprowadziły na nas większej masy, trzeba spieszyć z wymarszem. Jesteśmy już odkryci! A meldunków dotąd ani z Czapel, ani z Władysława ani śladu.

Pali mnie gorączka i niecierpliwość; w gardle wciąż zasycha, pomimo, że piję już trzecią szklanekę herbaty. Strzelanina na zachodzie zacicha. Po głowie chodzą same wątpliwości, najczarniejsze przypuszczenia i supozycje.

Aha! kilka strzałów na południu. Wsluchuję się; nic — cisza znowu zupełna. Po chwili meldunek: «Na południu, po drodze, idącej z Czapel na zachód, przeciągała jakaś kolumna z ciężkimi wozami, może artylerią, po zmierzchu w lesie nie rozpoznano, słychać było rosyjską rozmowę. Nasi ostrzelali oddział nieprzyjacielski, powstało jakieś duże zamieszanie w kolumnie, wszystko zaczęło się cofać z powrotem na wschód. Teraz droga wolna!»

— Tak więc — myślę — tłumaczy się zagadka, dlaczego nie ma meldunków; po prostu patrol południowy teraz jest od nas odcięty we Władysławie, może rozbity i rozproszony. Czapelki tak samo!

Przyspieszać wymarsz! Błyska mi myśl, by spiesznie wymaszerować i iść za cofającą się kolumną w stronę Czapel. Moskale są już i tak w strachu, gdy się cofają; gdyby się zatrzymali, to im ten strach powiększę. W każdy razie pierwsza walka z już zdemoralizowanym, cofającym się nieprzyjacielem.

— Czy gotowi tam do wymarszu? Posłać ordynansów z rozkazem o pośpiech. Zapowiedzieć Śmigłemu, że zaraz do niego przychodzę. Zaraz powinniśmy maszerować!

Rzucam rozkazy, pali mnie po prostu ziemia pod stopami, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Sztab w szacunku dla mego rozdrażnienia zachowuje się cicho, co jeszcze bardziej mnie drażni. Jestem tak zły, tak wściekły, że byłbym kogo z rozkoszą i zadowoleniem. I to piekielne pragnienie! Piłbym i piłbym bez końca, przeplatając picie papierosami.

Meldunek od Śmigłego — za chwilę będzie gotów. Za chwilę! Ach te marudy z III batalionu! Nigdy na czas, zawsze

się spóźnią! Słyszę na dworze chlupot nóg końskich i głosy: — Czy tu Komendant?

Wchodzi oficer ułanów. Zabłocony, trochę blade.

— Skąd?

— Z Czapel, Obywatelu Komendancie!

— Cóż tam?

— Moskale! Przyszli z Miechowa, musiałem się wycofać!

— Opowiadajcie!

Gdy dojeżdżał bez przeszkód do Czapel, słyszał za sobą strzelaninę, która się wzmagała. W Czaplach byli wtedy Moskale i, prawdopodobnie pod wpływem strzelaniny, wyszli w stronę Miechowa, bo wieś zastał pustą. Rozstawił strażę u wylotów wsi, wysłał meldunek. Przed godziną, może trochę mniej, na drodze od Miechowa straż usłyszała kroki kupy ludzi i dała ognia; rozpoczęła się strzelanina. Wieś zaczęto widocznie otaczać. Było już ciemno, więc sądzić może o tym tylko z tego, że strzelano do wsi z różnych stron i że słyszał gwizdki i nawoływania się od północy i południa. Gdy Moskale wchodzili już do wsi od wschodu, wycofał się ze wsi, a że słyszał strzały i na tej drodze, skąd przybył, więc naprzelaj wziął kierunek na Ulinę. Wracając, znalazł swego żołnierza, posłanego poprzednio z meldunkiem, który zabłądził i dlatego w porę nie wręczył meldunku.

Nic więc z moich lisich zamiarów maszerowania za cofającą się kolumną! Ziemia się pode mną rozstępowała. Sądząc z opisu, musiała to być już piechota, więc nienajbardziej przednia straż rosyjska. Alarm już idzie dokoła — i na zachodzie, i na wschodzie, za chwilę może nam być bardzo ciepło! A te marudy jeszcze nie gotowe!

— Idę już do Śmigłego! — mówię z nagłą decyzją.

Sztab, milcząc, stoi dokoła. Słyszał raport ułana; czuję, że wisi na ustach u wszystkich pytanie — dokąd?

— Idziemy na Władysław! — mówię -- nie można na Czaple, może się uda na Władysław.

Szef zwraca się do mnie z cichą prośbą, bym pozwolił mu iść obok siebie w szpicie.

— Nie! — odpowiadam prawie ze złością — zostaniecie tam, gdzie wskazałem, gdy ze mną co się stanie, obejmiecie komendę.

Szef, widząc moją niecierpliwość, prosi już tylko — zawsze jest metodyczny! — bym zaczekał z ostatecznym wymarszem, nim nie sprawi kolumny, żebyśmy w nocy się nie pogubili i nie rozerwali się na części. Zgoda — zamelduje mi przez Kasprzyckiego, że wszystko gotowe.

Wreszcie wychodzę. Owiewa mnie zimne powietrze i od razu zaczynam rozumieć, skąd ta zwłoka w wymarszu. Jest tak ciemno, że o dwa kroki nic nie widać. Liczyłem na to i chciałem jeszcze bez księżyca dojść do skrzyżowania drogi mojej do Władysława z drogą Czaple Małe—Iwanowice przy Wiktorce. Po tej drodze szedł na zachód z Czapel główny ruch wojsk rosyjskich. Tu spodziewałem się starcia i chciałem ciemności dla ukrycia swej słabości. Teraz jednak ta ciemność szalona, zwiększona jeszcze przez to, że na mój rozkaz zasłonięto wszędzie okna, istotnie przeszkadzała wymarszowi. Kazałem zaraz w domach, stojących przy zakrętach drogi, odsłonić okna i zapalić światło.

Wieś wyglądała, jak wymarła. Ludność ukryła się skrzętnie, oczekując bitwy w ich zagrodach lub na ich zagonach. Po bardzo ciężkim błocie dotarłem do kwatery Śmigłego. Już kolumna I batalionu stała na ulicy, narzekając na III, który jeszcze nie nadażył z wyjściem. Wpadłem odrazu na Śmigłego z narzekaniem na marudztwo. Śmigły i jego adiutant, Młodzianowski, tłumaczą się: jest tak ciemno, musieli parę płotów rozwalić, by łatwiej było wychodzić na ulicę, oprócz tego, idąc w awangardzie, chcą mieć przewodnika. Właśnie czekają na niego.

Panuje tu w tym ciepłym, jasno oświetlonym pokoju atmosfera wielkiego spokoju. W oczekiwaniu na przewodnika wypijam jeszcze szklankę mleka z doskonałą bułką. Już to sztab Śmigłego zawsze jest doskonale zagospodarowany! Młodzianowski żąda jeszcze koniecznie, bym na drogę wziął do kieszeni bułkę, i trochę cukierków. Zgoda, byle prędzej! Nie mam dotąd spokoju wewnętrznego, przebiegają po skórze dreszcze, mam po prostu dosyć tego czekania, tej wewnętrznej męki. Spieszno mi do rozdarcia tajemniczej zasłony, kryjącej naszą najbliższą przyszłość, którą, zgodnie z chłodną oceną sytuacji, uważam za tragiczną.

Przyprowadzono przewodnika — ma nas doprowadzić do Wiktorci. Wychodzimy. Zaczyna się ostatni akt naszej tragedii czy komedii, jeszcze nie wiem. Do głowy, jak wino, raz jeszcze rzuca mi się cały szereg wątpliwości, cały ciężar odpowiedzialności. W głowie mi się trochę mąci, chwieję się na nogach i muszę szukać oparcia na twardym, silnym ramieniu Śmigłego. Przygląda on mi się trochę zdziwionym wzrokiem, lecz natychmiast otacza mnie troskliwą opieką.

Jesteśmy na ulicy w błocie. Przed nami o kilkanaście kroków szpica z pięciu chłopców z 1-ej kadrowej kompanii, z oficerem na czele. U wyjścia ze wsi oczekuje mnie szef z 2 ofi-

cerami ordynansowymi. Jeszcze raz prosi, by zaczekać, nim cała kolumna nie wyciągnie się do marszu. Mamy przejść tyśiąc kroków i zatrzymać się. Wystarczy to do wyprowadzenia kolumny ze wsi.

Przechodzimy ten tyśiąc kroków i stajemy w oczekiwaniu meldunku szefa. Ogarnia mnie znowu ten cudowny stan, jaki odczuwałem przy wyjściu z Wolbromia. Jestem zupełnie panem siebie, myśl pracuje żywo i wyraziście. — Tak muszą się czuć — myślę sobie — wszyscy wielcy i mali awanturnicy, gdy przystępują do wykonania swych zamierzeń, gdy po przejściu Rubikonu wahań powiedzą sobie: *Alea iacta est!* Oglądam się. Na prawo — tj. na zachód — rozpała się na chmurnym niebie łuna pobliskiego pożaru. Słyszę, jak żołnierze szepcą do siebie: — Tam są kozacy!

— Ba, — chce mi się im powiedzieć — gdzie ich teraz w pobliżu nie ma?

Wschód zaalarmowany przez Czaple, zachód przez kozaków, z którymi mieliśmy potyczkę tutaj w Ulinie, południe prawdopodobnie przez patrol Dreszera, bo od niego nie ma słowa meldunku. Obliczam zimno i chłodno. Przed sobą aż do rozwidlenia dróg na Czaple i Wiktorkę mam zapewnioną drogę przez kompanię V batalionu. Żadnego niepokojącego meldunku od niej nie mam, więc ten kawałek drogi pewno da się przejść swobodnie. Prawdopodobnie też i dalszy kawałek drogi, idącej na południe od Wiktorki. Tam przecinamy drogę do Iwanowic. Tam będzie pierwsza próba. Druga — Władysław. Dalej nie chcę liczyć, bo gdy te dwie wypadną fatalnie, nie trzeba będzie już szukać trzeciej, wystarczą te dwie, a jeżeli nie, no, to będzie czas się zastanowić potem.

Jest Kasprzycki. — Czy już gotowe?

Nie, szef prosi, by jeszcze ruszyć naprzód o 500 kroków, koniec bowiem kolumny jeszcze jest pomieszany we wsi. Idziemy trochę dalej w las, gdzie na szczęście już błota nie ma — sucha, piaszczysta, lecz twarda po deszczach droga. Łuna na prawo zmniejsza się, natomiast na niebo wylazi niepożądany księżyc. Niebo, co prawda, zachmurzone, ale jednak światła jest dosyć, aż nadto dosyć na naszą imprezę. Łatwiej będzie maszerować, ale też i znikła osłona, która dawała nam zupełną ciemność.

Wypalamy tym czasem ostatnie papierosy, za chwilę w marszu, zgodnie z rozkazem, palić nie będziemy. Nareszcie Kasprzycki z meldunkiem, że wszystko gotowe. Ruszamy z opóźnieniem, co najmniej godzinnym. Idziemy lasem. Przed sobą widzę żwawo poruszającą się szpicę. Ale co to? Idąc tuż skra-

jem drogi, najbardziej ubitą ścieżką, zaczepiam o coś. Doprawdy nogi ludzkie! Uderzam po nich szpicrutą. Z krzaków wyskakuje naprzód jeden, potem drugi żołnierz — obaj zaspani.

— Co to jest? Skąd to, obywatelu? — pytam.

— Z piątego batalionu — odpowiadają nieśmiało.

— Cóż tu robicie?

— My? Na straży.

Wpadam w pasję. — Kulą w łeb — syczę — za taką straż! Spać się im zachciało, gdy od nich zależy całość oddziału. Łajdaki! Precz, do swojej kompanii, będziecie surowo ukarani!

Ba, po kilkudziesięciu krokach spotykam to samo — nowa para, we śnie pogrążona. Nigdy nie biłem w ciągu wojny żołnierza. To był jedyny raz, którego się dotąd wstydzę. Budziłem chłopców uderzeniem silnym nogą, dusiłem się wprost z wściekłości.

Po obudzeniu już piątej pary spotykam komendanta kompanii.

— Co robicie, obywatelu? Wszyscy wasi ludzie śpią, jak zabici!

— Ach, Komendancie! — mówi — biegam ciągle i budzę, tak są zmęczeni, że ledwie zostawić, a za chwilę już wszystkim śpi.

— To kazać im chodzić, do licha, a nie stać na miejscach! Nigdy z was nie będzie dobry oficer! Zebrać tę bandę i docześć do końca kolumny V batalionu. Czy i tam u rozwidlenia tak samo śpią?

Oficer tłumaczy się jeszcze. — Nie, tam nie śpią. Kawalerzyści podjechali trochę dalej i w tej chwili meldowali, że nic nie słychać. — Wszystko spokojnie.

Dawno to było, a jednak dotąd nie mogę zapomnieć tego wrażenia i tej chwili. Dotąd na dnie duszy leży jakby żal jakiś do V batalionu, pomimo, że dziesiątki razy zmazał swą winę walecznością i doskonałym żołnierskim zachowaniem.

Mijamy rozwidlenie dróg, ostatnią placówkę z kilku konnych, i wkraczamy wreszcie na drogę niezabezpieczoną. Co do mnie, jestem zupełnie już spokojny, — wzburzenie wewnętrzne wyładowało się w ruchu. Pozostała tylko ta wewnętrzna gorączka, która każe żywiej bić sercu i jaśniej myśлом pracować. Oglądam się za kolumną, co tuż za mną kroczy. Odczuwam jej psychę. Żołnierze wiedzą, w jakim są położeniu. Zresztą ostre zarządzenia marszowe, zakaz kładzenia się, obchodzenia błota, słowem — wszystkie te niezwykle rozkazy musiały nawet w najciaśniejszym mózgu obudzić myśl, że się dzieje coś nadzwyczajnego. Cisza panuje w zwykle gwarnych szeregach,

słyszę nieraz, jak nieostrożne brzęknięcie bronią napotyka na szeptane wymyślania kolegów. Karabiny najeżone bagnetami. Idziemy, jak duchy, w przestrzeń. Czuję w kolumnie wołę bronięcia się do ostatka.

Śmigły budzi mnie z rozważań, chwytając mnie za rękę i podnosząc swoją na znak zatrzymania kolumny. Szpica coś dostrzegła. Podchodzi od niej jeden z meldunkiem, że na prawo od drogi jakieś zabudowania, dostrzeżono tam konie, poszedł patrol dla zbadania sprawy. Po chwili wracają z dwoma końmi. Konie osiodłane stały pod płótem bez jeźdźców koło siana. Nikt ich nie pilnował. Oglądałem konie, nie wyglądają na kawaleryjskie, powiedziałbym raczej, że kozackie, lecz siodła kawalerii austriackiej. Czy nie z patrolu Dreszera? Każę je zaprowadzić na koniec kolumny do Beliny z rozkazem zameldowania, czy nie poznaje koni. My — marsz dalej!

Po paru minutach szpica podejmuje z ziemi parę przedmiotów, przynoszą mi je. Karabinki Manlichera. Teraz już jestem pewien. To z patrolu Dreszera. Była tu z pewnością potyczka, paru naszych legło czy zostało rannych. Oto więc rozwiązanie zagadki, dlaczego od Dreszera nie było meldunków. Ale gdzie nieprzyjaciel? Musi być gdzieś blisko. Te zabudowania to zapewne Wiktorka. Pytam o to przewodnika. Wymienia mi jakąś inną nazwę, której na mojej generalnej mapie 1:200.000 nie ma.

Już nie pierwszy raz się przekonuję, jak marną podstawą dla wojny była austriacka mapa generalna Królestwa. Zda się, że ją robiono co najmniej 20—30 lat temu, gdyż te zmiany, które na terenie w porównaniu z mapą znajdowałem, tylko przez dłuższy czas mogły powstać. Na kartach forma lasów inna, mnóstwa osiedli ludzkich nie ma, drogi często akurat inaczej chodzą, niż na mapie. Więc i teraz — według mapy pierwszym osiedlem, które mieliśmy napotkać na skrzyżowaniu dróg, powinna była być Wiktorka. Przewodnik zaś sypie nazwami, których wcale na mapie nie ma; ba, okazuje się, że i Wiktorka wcale na rozwidleniu dróg nie stoi, a tak się nazywa folwarczek, stojący nieco na uboczu. Do skrzyżowania dróg mamy jeszcze prawie dwie wiorsty. Tam dalej zaś w stronę Władysława droga, a znowu wbrew mapie. Zaczynam się obawiać, czy przewodnik mnie nie oszukuje. Ale nie! kierunek drogi jest dobry, no i skrzyżowania dróg dotąd nie było żadnego.

Naprzód, nie traćmy czasu! Mamy przed sobą jeszcze tyle drogi, tyle trudów! Cisza naokoło absolutna, cisza taka, jaka tylko bywa po długich jesiennych deszczach, gdy wszystko

w przyrodzie ciężko przemokłe zdaje się dumać nad ubiegłym, pełnym życia i zmian latem i przy dogorywującej jesieni cicho zasypiać drzemką przedzimową. Niebo lekko zachmurzone, obłoki przepuszczają mnóstwo bladego światła księżyca. Jest tak cicho i spokojnie w naturze, że się zapomina o nieprzyjacielu.

Maszerując, zaczynam już sobie układać w głowie swój raport o naszej eskapadzie i mam już ochotę przeklinać myśl szefa o zostawieniu kuchni w Ulinie.

Po pewnym przeciągu czasu las rzędzie, przed oczami szeroka polana. Widzę białą taśmę drogi, która biegnie, by przeciąć naszą. To owa Wiktorka z mapy, nie istotna. Na samym skrzyżowaniu dróg na niewielkim pagórku stoi chata, od niej na zachód idzie niedługi zresztą szereg innych chałup. Dalej droga nasza jest osłonięta od wschodu lasem, na zachód jakaś szersza otwarta przestrzeń. Cicho i tutaj. Oczy biegną we wszystkich kierunkach, nic nie dostrzegając, uszy nic podejrzanego nie słyszą. Za mną miarowy chód kolumny piechoty. Gdyby tu był nieprzyjaciel, już musiałby być zaalarmowany! A jednak tą właśnie drogą ciągnęły wozy i armaty, tutaj niedaleko padały strzały.

Szpica posuwa się szybko ku chacie, jestem za nią ze Śmigłym o dwa, trzy kroki, kolumna o jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków za mną. Ubita, szeroka, prawie jak droga, ścieżka prowadzi na pagórek, tuż obok chaty. Idziemy po tej ścieżce i nagle, gdy szpica zbliża się do węgła chaty, słyszę grubym basowym głosem wypowiedziane sakramentalne słowa straży rosyjskiej: — *Stoj, kto idiot?*

Widzę, jak szpica zawahała się jedną sekundę i cofnęła o kilka kroków, tak, że musiałem też parę kroków zawrócić, schodząc z pagórka. W chacie usłyszałem jakiś gwałtowny ruch, parę krzyków. Śmigły już rzucił rozkaz: — Druga kompania naprzód, przeszukać domy! Po chwili szybki tętent koni w galopie, oddalający się w kierunku południowo-zachodnim, potem szereg strzałów, gwizd kul, idących gdzieś blisko. Szpica już była w chacie. Trochę za późno, nikogo już tam nie było.

Przez te krótkie chwile przez głowę przebiegły mi błyskawicą różne myśli co do dalszych mych kroków. Przebiegły, zostawiając tak głęboki i wyraźny ślad w mózgu, że dotąd z fotograficzną ścisłością ich przebieg powtórzyć jestem zdolny. Oto ich treść:

Jest to placówka nieprzyjacielska. Umyka w stronę oddziału, który zabezpiecza. Więc tam na południo-zachodzie jest

większa siła, która już przez strzały jest zaalarmowana. Najbezpieczniej jest zejść z drogi temu oddziałowi, skrócić na lewo w stronę Czapel i potem w las na południe, w stronę Władysława. Tu zostawić kompanię w ariergardzie, tę, która teraz przeszukuje domy. I zaraz krytyka: — Stracę mnóstwo czasu, z kawalerią brnąć przez gęsty las trudno, a w nocy i piechota łatwo straci drogę. Niebezpieczeństwo wtedy z prawa od otwartej przestrzeni, gotowi nas ostrzelać. Będę miał ranych; niewiedomo, co z nimi robić — ani zostawić, ani ciągnąć za sobą. Wysłać na prawo osłonę czy patrole dla zbadań. I czekać? Nie! — I wreszcie krótka, ostra decyzja: — czasu nie tracić, maszerować wprost kolumną!

Byłem z decyzją gotów, gdy Trześniowski, dowódca drugiej kompanii, przyszedł z raportem, że nikogo nie ma, a wzięty tylko koń, widocznie kozacki, z długą grzywą i ogonem, z siodłem kozackim, uzdą, nabijaną posrebrzonymi gwóźdźkami; pewno podoficerska szkapa.

— Maszerować dalej! — mówię do Smigłego.

Smigły prosi o pozwolenie zmienienia awangardy i szpicy. Nie podoba mu się, że chłopcy w szpicy zawahali się sekundę po okrzyku straży kozackiej. Drugie: wypuścili z rąk przewodnika, który zdążył się wymknąć.

— Gapy! Sentymentalne inteligenty! — mruczę. Nie wzięli przewodnika na sznurek.

Smigły raportuje, że w awangardzie i szpicy pójdzie druga kompania. Chwilka zwłoki, bierzemy z tej samej chaty gospodarza jako przewodnika. Niemłody to już człowiek, stęka, gdy żołnierze wyprowadzają go na wpół ubranego z chaty. Ma na bieliźnie naciągnięty kozuch, żegna się kilka razy, gdy go paru żołnierzy bierze pod ręce. Ruszamy.

Te parę minut, spędzonych na rozstaju dróg przy chacie, zostaną mi w pamięci na zawsze. Nigdy nie byłem tak blisko nieprzyjaciela, by słyszeć wyraźnie jego słowa, nigdy, zdaje się, nie myślałem tak szybko, jak wówczas. Dlatego też nieraz potem, gdym przemyślałem raz jeszcze tę chwilę, zastanawiałem się, czy istotnie miałem rację, wydając rozkaz maszerowania dalej, bez zmiany kierunku. Że tym razem postanowienie moje nie wyszło nam na złe, to wcale nie dowód, by rozkaz mój był racjonalnym. Niewątpliwie było to najryzykowniejsze wyjście ze wszystkich możliwych kombinacji, jakie się nasuwały, i gdybyśmy mieli przeciw sobie silniejszego wola nieprzyjaciela, to moja decyzja kosztowałaby nas bardzo drogo. Miała ona za sobą to, że była najprostszą i wymagała najmniej czasu dla wykonania. Było to, jak mi się zdaje teraz, główną

i, dodam, niemało ważną jej zaletą. Istotnie bowiem czasu wiele do stracenia nie mieliśmy.

Od naszego przewodnika dowiedziałem się o opowiadaniach kozaków, że za godzinę miała tu nadejść większa siła, prawdopodobnie z powodu alarmu, zrobionego przez nas. Bardzo więc być może, że przy skręceniu na lewo wpadłbym właśnie na zbliżających się wrogów. Ale także prawdą jest, że gdyśmy odmaszerowali, to naszą ariergardę — kawalerię — prawie że najechała zaalarmowana sotnia kozaków. Że kozacy zamiast być dzielnymi żołnierzami i otworzyć na nas ogień, któryby zmusił mnie do zatrzymania, uszanowali ciszę jesiennej nocy i rozminęli się spokojnie z naszymi ułanami, to wcale nie dowód, że moja decyzja nie była najryzykowniejszą w tym położeniu. Powtarzam, na chłodno rozstrzygnąłbym prawdopodobnie tak samo, właśnie dla uniknięcia straty czasu.

Miałem przed sobą jeszcze opętanych trzydzieści kilka kilometrów, które przejść mogłem jedynie w nocy. W perspektywie zaś nad ranem — bój z Moskałami, którzy, jak przewidywałem, muszą gdzieś stanowić osłonę przed fortami Krakowa. Musiałem więc spieszyć.

Gdyśmy ruszyli od Wiktorki, kazałem dla ostrożności iść pod samym lasem, tak, by być w cieniu drzew, zasłaniających nas od blasku księżyca. Drżało we mnie serce, oczekiwałem wciąż strzałów z prawej, odkrytej strony. Lecz minuty szły za minutą, strzałów nie było. Zacząłem się uspakajać i myśleć o następnym etapie — Władysławie. Pierwszy — Wiktorkę i drogę z Czapel do Iwanowic — minęliśmy szczęśliwie. Mam teraz dowód, że jesteśmy istotnie w kraju, obsadzonym przez nieprzyjaciela. Jest noc, drogi więc są wolne, lecz gdzie? Te pewno są zajęte przez rozkwaterowane na noc wojsko. Dajmy na to, że droga, po której idziemy, nie jest drogą marszową dla wojska, idącego na zachód; my się poruszamy na południe i Władysław nie stoi na skrzyżowaniu dróg, jak Wiktorka, ale zawsze jakaś boczna kolumna, tabor, czy kawaleria, dla zaszanowania koni i podstawienia ich pod dach na noc, może zajmować Władysław. Dreszer ze swym patrolem nie dojechał pewno do Władysława, znaleźliśmy przecie po drodze konie i karabinki z jego patrolu. Męczyły mnie te myśli w drodze do Władysława. Nie dałem sobie jeszcze z nimi rady, gdyśmy wyszli z lasu, i wkrótce z daleka ujrzałem pierwsze domy wsi.

Tu podskoczył do mnie szef z propozycją, aby Władysław obejść wprost polami. Zapytałem przewodnika, czy da się to zrobić. W lot zrozumiał on naszą myśl i odrzekł, że obejść

Władysław można doskonale. Za tamtym pagórkem z prawa jest długi wąwóz, który otacza wieś dookoła i wyprowadza na drogę, idącą do Słomniczek. Kazałem iść w tamtą stronę, porzucając drogę do Władysława. (Nie wiedziałem, że Dreszer stał wówczas we Władysławie. Historia jego jest ciekawa. Jeszcze za ciemna zajął on Władysław, wzięwszy taborek rosyjski z chlebem, mąką i owsem. Było tam tak ciemno, że parę razy kozacy wjeżdżali do wsi, zajętej przez niego. Padły strzały. Meldunki dojść do mnie nie mogły, bo za każdym razem jadący z meldunkiem znajdował drogę przy Wiktorce zajętą przez Moskali. Dwa konie i karabinki istotnie należały do ludzi z jego patrolu. Byli to rekruci, którzy nie umieli jeździć konno i spadli ze swych rumaków. Dreszer samodzielnie, nie doczekawszy się naszego przyjscia, cofnął się do Krakowa. Dwaj nieszczęśliwi rekruci także nie zginęli. Przebrali się za chłopów i zostali przez przemytników doprowadzeni szczęśliwie też do Krakowa. Usłuchawszy szefa, straciłem, jak teraz sędzę, jakie półtorej godziny. Niewątpliwie jego rada czyniła odwrót pewniejszym i mniej ryzykownym, chociaż bardziej uciążliwym).

Skręcamy z drogi na prawo, na świeżo zorane pole, i zaczynamy zwolna wchodzić na pagórek. Jakaż to wściekła różnica maszerować po drodze, a iść bezdrożem po zoranych polach. Nogi grzęzną gdzieś w brzdach, miękka ziemia oblepia buty. Doprawdy, gdyby nie ta konieczność spieszenia, gdyby nie te nerwy naprężone, nie dałbym ani ja, ani moi żołnierze rady w tym dzikim marszu po bezdrożu. Odpoczywalibyśmy z pewnością co 10 minut. Teraz szło się bez wytchnienia prawie. Gdy mi serce od zmęczenia trochę dokuczać zaczynało, stawałem na chwilę, nie zatrzymując kolumny, by odetchnąć głębiej i spokojniej. Dało mi to możliwość obejrzenia parę razy kolumnę, wciągającą się na pagórek. Cudowny widok! Ledwie dostrzegalny szary wąż pełznął po równie szarej ziemi do góry. Cisza była absolutna. Trochę w dole, na lewo od nas, tonęła w szaro-srebrnej mgle, również w ciszę pogrążona wieś Władysława. Widziałem, że żołnierze, równie jak ja, zezowali na lewo, na wieś, gdzie się spodziewano, że są Moskale. Każdy starał się stąpać jak najciszej, nieledwie szedł na palcach. Nie spostrzegalem nikogo, ktoby występował z szeregów na bok — rzecz tak zwykła w każdym marszu. Kolumna zdawała się nie być zbiorem jednostek-atomów, lecz jednolitą masą, wyginającą się w ładnych skrętach.

Z pagórka zaczęliśmy się spuszczać po bardzo spadzistej ścianie do głębokiego wąwozu. Nie mając laski ani karabinu

do oparcia się, już miałem zamiar poprostu stoczyć się na dół, gdy poczułem obok siebie podtrzymującą mnie rękę Śmigłego.

— Jezus, Maria! — przemknęło mi przez głowę — jak tu przejdzie kawaleria. Kasztanka mi na pewno nogi połamie w tym wertepie. — A jednak przeszła i jazda, i kasztanka. Wiele ten może, kto musi.

Tu, na dnie wąwozu, postanowiłem na chwilę zatrzymać kolumnę. Przy schodzeniu z tak spadzistego zbocza, podczas którego każdy musiał pomagać sobie nieledwie rękami, by się nie przewrócić, kolumna musiała się rozluźnić. Trzeba dać czas, by się ona uporządkowała. Zresztą drżałem o konie i chciałem doczekać się meldunku, czy nie było jakiego wypadku. Skorzystałem z tego czasu, by rozejrzeć się na mapie. Okryto mnie zewsząd płaszczami i przy latarce elektrycznej przejrzałem i zmierzyłem drogę przebytą i tę, która jeszcze była przed nami. Pozwoliłem sobie na wypalenie dwóch papierosów w tym ukryciu. Co za niewypowiedziana przyjemność! Przypomniały mi się młode studenckie lata, gdy się również tak chyłkiem i na schowanego zaciągało dymkiem.

Jakże ciężko jednak było potem wstać i ruszać. Nogi jakby nalane ołowiem, głowa ciężka, twarz i oczy jakieś rozpalone. Jedyne uczucie, jedyna myśl — to wyciągnąć się tu, w tym parowie, i leżeć, niech się co chce dzieje! Z przerażeniem pomyślałem, że tak prawdopodobnie czuje cała kolumna, a do odpoczynku jeszcze daleko, i kto wie, co nas jeszcze po drodze czeka!

Manewrowaliśmy tym wąwozem długo; sądzę, nie mniej, niż dwa i pół kilometra. Orientowałem się, iż pomimo zakrętów idziemy w dobrym kierunku: równoległe do wsi Władysław, w kierunku południowo-wschodnim. Była to najbardziej romantyczna część naszej romantycznej drogi. Wciśnięci w ciasny, o stromych, spadzistych brzegach wąwóz, mogliśmy sobie wyobrażać, że jesteśmy gdzieś w górach, nie na polskiej równinie. Było tu trochę ciemniej, bardziej tajemniczo, a zatem jak-gdyby bezpieczniej. Śmiałem się sam z siebie, z tego dziwnego uczucia bezpieczeństwa w ciasnym wąwozie, gdy rozum mój mówił mi akurat co innego, że właśnie w tym głupim parowie najmniejszy oddział nieprzyjacielski może nam zadać jak największe straty. Spieszyłem więc, by wyjść co prędzej na teren bardziej otwarty.

Przewodnik nasz stękał i narzekał, że dalszej drogi nie jest bardzo pewien. Nawinęły się nam po drodze dwie chaty, stojące w rozszerzeniu wąwozu. Kazałem je obejść i, jeżeli są ludzie, ściągnąć stamtąd nowych przewodników. Sam wsze-

dłem do jednej z chałup. Czekając na gospodarza, który się ubierał, wypaliłem z rozkoszą raz jeszcze papierosa. Tu wreszcie rozstrzygnąłem ostatecznie kierunek naszego dalszego marszu.

Po kilku pytaniach przekonałem się, że gospodarze są zawodowymi przemytnikami. Cała ta awantura przeprowadzania nas przez linie rosyjskie niezwykle im się podobała. Opowiedzieli mi, że po drodze Słomniki-Skała przeciągnęło dużo wojska na zachód. Bojów większych nigdzie w tych okolicach nie było. Trochę strzelano dzisiaj wieczór koło Władysława, co to było jednak — nie wiedzą, bo do Władysława nie chodzili.

Wybrałem sobie na mapie lasek, niedaleko od szosy Kraków—Miechów, koło Widomej. Postanowiłem tam dotrzeć. Trzeba było przedtem przeciąć drogę Słomniki—Skała. Kazałem przewodnikowi prowadzić przez pola tak, aby przeciąć tę drogę akurat pośrodku, pomiędzy dwoma wsiami, które, jak przypuszczałem, musiały być zajęte przez maszerujące na zachód wojsko rosyjskie. Na podstawie dotychczasowego doświadczenia z Moskałami przypuszczałem, że uda mi się to zrobić, o ile tam dotrzemy jeszcze w nocy. Co da lasek, do którego dążyłem, aby dać spocząć ludziom, to już rzecz szczęścia. Albo wpadnę tam na przypuszczalną osłonę rosyjską od Krakowa i wtedy pójdę od razu na bagnety na zaskoczonych i niespodziewających się niczego z tyłu nieprzyjaciół, by drogę do Krakowa sobie otworzyć, albo, gdy będę szczęśliwszy, spocznę w lesie na godzinę lub półtorej po tak piekielnie nużącym marszu.

Przewodnicy w lot zrozumieli moje polecenie i obiecali sprawnie nas doprowadzić. Starego przewodnika z Wiktorki, pomimo, iż błagał, abym go zostawił, wziąłem ze sobą. Bałem się, by nie spotkał gdzie kręcących się kozaków i nie naprowadził ich na nas. A teraz marsz! E! jeszcze jednego papierosa, tym przyjemniejszego, że jakby skradzionego od siebie samego, wypalonego z pośpiechem. Wyznaję otwarcie, że w tej chwili nie miałem nadziei zapalenia nazajutrz spokojnie papierosa w Krakowie. Wydawało mi się to prawie niepodobieństwem.

Nasz wąż znacznie się rozszerza, na prawo z dala migocą jakieś światełka, od wążu idą na lewo rozgałęzienia. Przewodnik wskazuje na prawo i mówi, że takbyśmy szli na Iwanowice, ale my musimy teraz wyjść z wążu na górę, na drogę, prowadzącą z Władysława do Celiny, gdzie, jak mnie zapewniają, nocuje kawaleria rosyjska, i stamtąd przez pola, wprost na drogę od Słomnik do Skały.

Wyjście z wążu jest jeszcze bardziej strome, niż zejście do niego. Drapię się w górę rękami i nogami, serce mi się

tlucze gwałtownie w piersiach, myślę z przerażeniem o kasztance, która ma tę samą drogę odbywać, wreszcie staję zaspiany na górze. Rzucam okiem na wszystkie strony. Na lewo w mgłę widzę koniec wsi Władysław, przed sobą o sto kroków szereg drzew, stojących prawdopodobnie na miedzy, na prawo rozgałęzienie wąwozu, a za nim szeroka przestrzeń szarego, zoranego pola. Posuwamy się naprzód. Z wąwozu z trudem wylazi za mną kompania za kompanią. I nagle gdzieś na lewo od nas padają strzały. Jeden, drugi, potem kilka naraz. Kule nie gwizdzą nad nami, więc nie w naszym kierunku strzelają. Wszystko zamarło. Bezwiednie podniosłem rękę, by zatrzymać kolumnę; słyszę szeptem dany rozkaz Śmigłego: — Padnij! — Żołnierze i przewodnicy znikli, przywarli do ziemi.

Wysunąłem się ze Śmigłym przed szpicę ku drzewom, tam położyłem się i zacząłem uważnie wpatrywać się w szaro-srebrną przestrzeń. Całą duszę włożyłem w oczy, by przebić nimi zasłonę mgiełki, a na dnie duszy dręczące pytanie — czyżby już? Nie. Strzałów więcej nie ma. Na lewo, w stronę Władysława, nic nie widzę, wprost przed sobą także. Zwracam oczy na prawo i... widzę jasno o paręset kroków od siebie kilku konnych. Jadą stępą, jeden na przedzie, o kilka kroków za nim trzech innych. Odróżniam, że nie są to nasi; nad nimi, w mgłę, widzę coś jakby długą kreskę, wznoszącą się ku niebu — piki, w które uzbrojona jest cała kawaleria rosyjska, nasi zaś ulani i kawaleria austriacka ich nie posiadają. W głowie przemyka mi się znowu tysiąc myśli, będących odpowiedzią na ciężkie pytanie: co robić?

Od nawału myśli zamykam oczy, by lepiej zastanowić się nad rozkazem, który mam wydać w tej chwili i... o, przerażenie, a zarazem ulga! Przez zamknięte oczy widzę ten sam obraz: szaro-srebrną równinę, a na niej, jak duchy bezszelstne, konne postacie, zbliżające się ku nam.

— Do licha! Tego brakowało! Mam halucynacje!

Zbieram całą siłę woli, szczypię siebie i otwieram oczy. Nie, nic nie ma, nie widzę nic. Zastanawiam się chwilę i uderzam się w czoło.

— Ośle! — powiadam sobie — przecież przy tym oświetleniu, gdybyś widział piki, tobyś na pewno słyszał też tupot koni! A przecież jest cicho! Nie marnować czasu!

— Nic nie ma — szepce mi w tym samym czasie Śmigły — chyba można ruszać? Co, Komendancie?

— Naturalnie, ruszać! — mówię już głośno, żeby prze-rwać tę niesamowitą atmosferę.

Ruszamy. Wychodzimy na drogę, po której, niestety,

idziemy bardzo niewielki kawałek, i gdy na lewo od nas zamigotały światelka z Celiny, skręcamy na prawo — na szerokie, zaorane pole. Znowu zmęczone nogi toną w jakiejś miękkiej masie, niezgrabnie zaczepiają o bruzdy, znowu serce od czasu do czasu wyrabia jakieś głupie brewerie w piersiach. Słyszę raz po raz, gdzieś daleko w tyle, strzały. Dla wyjaśnienia sprawy posyłam do ariergardy z zapytaniem, co się dzieje? — Nic, u nich spokojnie, strzelają gdzieś dalej na północy.

Zaczynam opadać z sił. Przemagam się, lecz czuję, że wkrótce padnę. Zjadłem już całą bułkę i wszystkie cukierki, gościnnie mi wpakowane w Ulinie przez Młodzianowskiego, — nie pomaga! W głowie kręci się wciąż głupia myśl.

— Mój ty mocny Boże! I po co pozwoliłeś, by ci ludzie tyle tego pola zaorali, nogi poprostu tęsknią do jakiejś zmiany. Niechby była nawet mokra łąka, byle nie to jakieś głupie, niedopieczone ciasto, z którego tak ciężko wyciągać nogi!

Może dać spokój? Oddać komendę szefowi, samemu odejść na tyły i sięść na kasztankę; niech ta, jak umie, wyciąga nogi z tej monotonnej, zoranej ziemi. Nie, nie mogę! Przypomina mi się znowu: *Tu l'as voulu George Dandin!* Tyś tę awanturę wymyślił. Tyś naraził wszystkich na to szalone ryzyko dla romantycznej hekatombi w Krakowie czy na Podhalu, nie wolno ci przed końcem, gdy ludzie tak samo, jak ty, są zmęczeni, zrzucić z siebie odpowiedzialności. Muszę jednak szukać pomocy. Biorę pod rękę Śmigłego, opieram się mocno — jest lepiej! Dla ulżenia sobie zaczynam myśleć o Moskalach, których zostawiłem za sobą. Zaalarmowani ze wszystkich stron, zbiorą się szukać nas w Ulinie. Będą mieli głupie miny, gdy się okaże, że ptaszek wyfrunął. A te strzały za nami. Pewnikiem teraz po nocy z «nerwów» nie poznają jeden drugiego i strzelają do siebie wzajemnie. Te myśli robią mi znaczną ulgę. Taką psotę wyprawić nieprzyjacielowi!

Patrzę na zegarek — zbliża się piąta. Oho! Zaraz już świt. Jak tam jest z naszą drogą? — Przewodnicy! Czy daleko?

— Już jesteśmy prawie przy drodze Słomniki—Skala — szepczą mi w odpowiedzi. — Za chwilę będziemy widzieć domy.

Istotnie. Srebrne blaski księżyca już znikły, zastąpione przez jednostajną szarość świtu. W tym szarym półmroku odróżniam na prawo i lewo domy obu wsi, pomiędzy którymi mamy przeciąć duży gościniec.

Zapomniane zmęczenie! Porzucam opiekuńcze ramię Śmigłego, znowu mam siebie w garści, a oczy skwapliwie badają przestrzeń. Zwalniamy kroku, by lepiej się rozejrzeć. Na gościńcu, w tym miejscu, gdzie mamy go przeciąć, nie ma ni-

kogo — pusto. W najbliższych domach, we wsi na prawo jest jakiś ruch. W różnych kierunkach posuwają się ogniki latarń. To jest wojsko! Chłopi u nas po wsiach latarń, by trafić do swej stodoły, nie używają. Ba! Widzę w najbliższym domu, jak błyska ogień od zapalki i potem we mgle, od czasu do czasu, żarzy się ogień od papierosa. Ogień błyska wprost w oczy, więc twarz palącego jest skierowana ku nam. Ciekaw jestem, czy widzi on naszą kolumnę, — przecie jest taka widoczna już przy tym świetle. Latarń jest dużo, musi to być albo tabor, albo artyleria.

Błyska mi szalona myśl. Skierować kolumnę wprost na wieś. Nagłym napadem zakłócić spokój tam panujący, zabrać co się da i hajda do Krakowa! Opanowuję się. Do Krakowa jeszcze szmat drogi, jeszcze po drodze do niego muszą być gdzieś Moskale. Niech śpi licho! Napad by się udał, lecz potem będzie zbyt trudno. Zdążą obskoczyć i zatrzymać. Marsz więc dalej, gdy szczęśliwie nas nie dostrzega ta «wredna istota» z widocznym papierosem w niewidzialnej gębie.

Wchodzimy na ubity gościniec, przekraczamy go, by wejść znowu na zorane pole. Skręcamy ku wschodowi. Oglądamy się parę razy, czy nie ma we wsi alarmu. Nie, cicho i spokojnie. Cała kolumna długości kilometrowej prześlizgnęła się przez gościniec. Ba! z daleka widzę zieloną ścianę lasu — cel najbliższy mego marszu. Czas już, bardzo czas: jest prawie zupełnie jasno, tym bardziej, że chmury się rozeszły, niebo jest czyste. Wzdłuż traktu krakowskiego, jak go nazywają w Królestwie, a warszawskiego — w Krakowie, biegną słupy telegraficzne. Na gościńcu nie widać żadnego ruchu. Przeskakuję przez rów, wdrapuję się na szosę, zapuszczam ciekawy wzrok w gęstwinę pobliskiego lasu i oczekuję jakiegoś zawołania lub strzału. Nie! nic nie ma i cała kolumna szybkim, żwawym krokiem wkrótce kryje się w lesie.

Ach, jakaż ulga! Co będzie, to będzie! Awantura nie skończona, do Krakowa mam jeszcze 16 kilometrów i nie wiem, co spotkam po drodze. Ale odpoczynek pewny. Nie jest tak źle na świetle!

Rzucam rozkazy o osłonie lasu ze wszystkich stron, zapowiadam odpoczynek z bronią przy sobie, każe nabijać karabiny i wreszcie odpocząć, odpocząć, wypalić papierosa! Widzę na twarzach wszystkich radosne uśmiechy. Znajduje się u kogoś w manierce zimna herbata, oficerowie rzucają mi płaszcze na ziemię. Kładę się na nie, piję herbatę, palę, uśmiecham się równie radośnie, jak inni, do wschodzącego na czyste niebo słońca. Zapomniane są ciężary, zapomniana męka decyzyj i zwątpień. Tak dobrze żyć na tym bożym świetle...

Po chwili zasypiam, każąc przedtem obudzić się za pół godziny. Zasypiam z rozkoszną myślą, że dalej już poniosą mnie nie własne nogi lecz nogi mojej kasztanki, która tuż niedaleko szczypie jesienną, zwiędłą trawę.

Budzę się od huku wystrzału, budzę się, nie będąc pewnym, czy to mi się przyśniło, czy tu istotnie ktoś strzelił. Zrywam się i siadam, sięgając bezwiednie po brauning na pasie. Już oficerowie pobiegli sprawdzić, co się dzieje. Słucham, a las rozbrzmiewa brzękiem wesołych, młodych szmerów i głosów. Miałem wrażenie, że jestem na majówce z jakąś szkołą. Słońce świeciło, napełniając las blaskiem, poprzecinanym wesołymi plamami. Żołnierze zachowują się, jak miłe dzieci.

Było to ogólne odetchnięcie po przebytych trudach i wrażeńiach. Ten las wydawał się końcem naszych niebezpieczeństw, jakimś pewnym, niewzruszalnym ukryciem. Wszyscy byli zachwyceni, że jesteśmy tak blisko od Krakowa, nikt nie chciał rozumieć, że kto wie, czy i teraz nie jesteśmy wśród nieprzyjaciół. Zerwałem się, by przerwać ten majówkowy nastrój.

Nakazałem zbiórkę batalionom. Obszedłem wszystkie, z piątym rozprawiłem się ostro za spanie na forpocztach pod Uliną. Kazałem wszystkim być na pogotowiu do marszu, nie czynić żadnych hałasów, nie rozpalać ogni, oficerom być przy swoich oddziałach.

Bezwiednie jednak i sam poddawałem się poczuciu względnego bezpieczeństwa. Dotąd strażę, wystawione na skraju lasu, nie doniosły o niczym podejrzanym, na razie nie spostrzeżono żadnego ruchu. Doprawdy, czy nie sen to był cały dzień wczorajszy z tą piekielną nużącą nocą?

Zaczynam myśleć, co mam robić dalej. Przede wszystkim pójdzie naprzód patrol ułanów, wprost drogą na Michałowice, do Krakowa. Jeśli nie spotka Moskali, to ostrzeże najbliższe forpoczty, by nie strzelano do nas, gdy ujrzą kolumnę piechoty, zbliżającą się do fortecy. W dziesięć minut potem awangarda — kompania piechoty, a gdy do niej nikt strzelać nie będzie — reszta w kolumnie szosą do Krakowa. Tak będzie najlepiej.

Dałem odpowiednie rozkazy, pomimo, że wydawały mi się one trochę ryzykownymi.

Przewodnicy zaczęli błagać, bym ich puścił do domu. Zapłaciłem im sowicie, jeden z nich wyprosił nawet starego, siwego konia od kuchni, który zaczął kuleć w drodze. Zapowiedziałem, że pójda sobie wtedy, gdy my ruszymy dalej, do tego czasu pozostaną pod strażą, pod którą byli dotychczas.

Wreszcie przyszła chwila, którą oznaczyłem z góry, i plu-

ton kawalerii wyskoczył na szosę, ruszając od razu ostrym kłusem ku Krakowowi. Strzałów nie ma. Rzucam dalej kompanię awangardy, a w lesie wyciągam kolumnę. Czas! Na kasztankę i z lasu! Klacz lekko przeskakuje rów przy szosie, jestem na niej i — w tej chwili gwizdże mi nad głową kula, gdzieś z tyłu za mną wystrzelona. Rzucam okiem na prawo i lewo i, do prawdy, śmiech mnie bierze.

Po szosie tam, na górze, gna mój pluton ułański już gdzieś w początkach Michałowic. Widzę, jak migają wśród domów wiejskich ich czapki, a z obu stron szosy umykają pędem na otaczające wzgórza grupy konnych. To Moskale. Moja kompania awangardowa wysunęła się trochę naprzód, lecz jej gros zatrzymało się przy pierwszych domach, wykonując koło nich jakieś niezrozumiałe dla mnie ewolucje. Z lasu za mną już się wysuwał wąż kolumny moich batalionów. Od czasu do czasu, gdzieś z tyłu za nami, ze strony Słomniczek, jakiś uparty i niewidzialny Moskalik strzelał i kula z jękiem pędziła nad nami w przestworza. Nad tym wszystkim słońce napelnia świat wesółym blaskiem.

— Ruszać! Na wszelki wypadek, po ominięciu pierwszych domów, rozwinąć dwie kompanie na boki, w ślad za uciekającymi kawalerzystami, by nie dać im się zatrzymać i nie pozwolić im ostrzeliwać kolumny. Kompania jedna zostanie w ariergardzie o dobrych kilkaset kroków, przy tych właśnie domach.

Sam spieszę naprzód, by poznać przyczynę zatrzymania się awangardy. Nie potrzebuję pytać: z domów wywlekają moi chłopcy jeńców. Jak się okazało, przy pierwszym ruszeniu plutonu ułańców ukryli się niektórzy z Moskali w domach, reszta z innych chałup umknęła na prawo i lewo od drogi.

Krótkie badanie. Jest ich ośmiu. Trzech z nich z 21-ej dywizji III korpusu kaukaskiego zabłądziło, doganiając swoją dywizję, i przenocowało u kolegów z gwardii. Reszta to gwardziści z finlandzkiego pułku gwardii, z t. zw. «myśliwskiej», raczej wywiadowczej, kompanii, wysłanej naprzód ku Krakowowi na wywiad i osłonę pułku, który został pod Słomniczkami. Ci, co uciekali, są tak samo gwardziści, tylko z «konno-myśliwskiego» oddziału.

— Dalej! Wziąć ich w szeregi! — Naprzód! bo tam przed nami słychać znowu strzały. Tam musi mieć potyczkę mój pluton kawalerii.

Przyspieszonym, żwawym krokiem ruszamy naprzód, kompanie rozwinęły się na boki, i widzę, jak ich łańcuchy tyralierskie zbliżają się ku wzgórzom. Mamy się wszyscy zejść

tam na górze, przy dawnej granicy. W środku wsi Michałowic zastają paru kawalerzystów, którzy też wzięli jeńców z gwardii, z tegoż finlandzkiego pułku. Zabrano do niewoli dwunastu, z nich jeden ranny, poza tym dwóch zabitych. Było tu więcej Moskali, lecz zaskoczeni z tyłu znienacka, poszli w rozsypkę. U nas strat nie ma. Podporucznik z resztą plutonu popędził dalej do fortecy, wypełnić zleczone mu zadanie. Mam więc dwudziestu jeńców i kilka koni, wziętych pod samym Krakowem.

Była to ta osłona od Krakowa, której się tak bałem poprzednio w swoich rozważaniach. Najzabawniejszym jednak było to, że wkradłem się do lasu niepostrzeżenie pomiędzy przednią straż pułku i sam pułk. Ba! Spędziłem w tym lesie półtorej godziny o kilkaset kroków od noclegu finlandzkich gwardzystów, od miejsca, skąd wyszli na wywiad ku fortecy! Trzeba istotnie mieć z jednej strony szczęście, z drugiej tak źle pełniących służbę wrogów, aby podobny kawał mógł się udać!

Na górze, przy dawnym rosyjskim urzędzie cłowym, spędziłem dobre pół godziny, nim się doczekałem zbiórki całego oddziału. Niebezpieczeństwo minęło, byłem tutaj pod osłoną armat krakowskich. Ogarniało mnie rozleniwienie i jakieś wewnętrzne roztkliwienie na widok moich kochanych chłopców, których na tak straszne przejścia naraziłem i szczęśliwie z matni wyprowadziłem. Gdzieś z pamięci wypływały wspomnienia o tym, jak przed laty z Sulkiewiczem przez tę samą «tamożnię» (urząd cłowy) przejeżdżałem z Krakowa pod obcym nazwiskiem do Królestwa. Jakże to inaczej teraz wyglądało! Przechodziłem tę samą granicę nie jak dawniej ukradkiem, lecz gwałtem, na czele wojska polskiego, niosąc, według swych dawnych marzeń, na ostrzu bagnietów upragnioną swobodę.

Lecz z chwilą, gdy z głowy spadło poczucie odpowiedzialności, brało górę nad wszystkim zmęczenie, zmęczenie fizyczne i nerwowe. Widziałem wszystko, jak we mgle jakiejś, i gdy przyszło ruszać, z trudem dosiadłem konia. Więc we mgle spostrzegłem, że ładna z wiekowych drzew aleja, idąca z Michałowic do Krakowa, znikła, a olbrzymie drzewa, jak trupy po boju, leżały ścięte. Jak we mgle spostrzegłem pierwszy fort krakowski, najeżony zewsząd drutami, spoza których żołnierze przyglądali się nam ciekawie. Jak we mgle widziałem kwiaty, które mi wpychały krakowianki, i jakieś pudełko z ciastkami, w ręce mi wsunięte. Wszystko tonęło mi we mgle.

Obudziła mnie kasztanka, która, nagle chrapiąc, zaczęła zwiijać się pode mną i przysiadać na zadzie. Z wielkim hałasem i dudnieniem szedł naprzeciw nas automobil ciężarowy i kasztanka, wychowanica wolnej wsi, protestowała przeciw

takiemu monstrum. A ja, dumny i szczęśliwy, głaszcząc ją po błyskającej złotem w słońcu szyi, uspakajalem ją słowami:

— Głupia, w twoich Czaplach nie byłaś, ale za to jesteś w Krakowie, rozumiesz? W kochanym, cudnym, polskim Krakowie, gdzie żołnierz polski z honorem umrzeć może, rozumiesz? Ty czapelska istoto! Na tobie, na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna!

Kasztanka cudów Krakowa przy samochodach zrozumieć nie chciała i drżała jeszcze na całym ciełe, choć automobil dawno nas minął. Jego głuche dudnienie i warczenie, dochodzące nas z oddali, nie pozwalało się jej uspokoić.

Zawolałem Śmigłego. Kazałem mu zameldować w komendzie forticy, że jestem chory. Poleciałem rozkwaterować ludzi i zapowiedzieć w komendzie, że piśmienny raport z wywiadów dzisiaj jeszcze nadeśle. Sam ruszyłem do domu. Rozkaz, jaki dałem służącej, gdym tam ku jej zdumieniu się zjawiał, brzmiał:

— Dużo, bardzo dużo herbaty i jeść, a najwięcej spać! — Spać jednak nie udało się! Przyszedł Śmigły z raportem, że go przyjęto kwaśno, że nas tu wcale nie potrzebują i że mamy się co najprędzej wynosić. Kwater mu dać nie chciano, ledwo wytargował pałac Spiski, gdzie przedtem kwaterowali legionisci. Posłałem go na nowe targi i wieczorem otrzymałem pozwolenie pozostania w Krakowie, by ludzi wykąpać i pozwolić im zmienić bieliznę. Musiałem napisać swój raport. Nadszedł wieczór, wykąpałem się i dopiero o godzinie 12 w nocy zasnąłem, rozebrany po raz pierwszy od nieledwie tygodnia. Trzy doby nie spałem, bo godzinki podczas biwaku w Krzywopłotach i kwadransu w lasku przy Widomej liczyć niepodobna. Pamiętam, gdym ruszał na wojnę, wahałem się, czy brać na siebie komendę, gdy mam tak słabe i skłonne do nerwów serce. Gdyby mi wówczas kto powiedział, że nie będę spał trzy dni, że wytrzymam przy tym 30 kilometrowy marsz pieszy po zorany polu, nie mówiąc o moralnych przejściach, które przeżyłem — nigdybym temu nie uwierzył.

Czekała mnie jednak w Krakowie przyjemna niespodzianka. Oto, zaraz prawie po przyjeździe do domu, zameldował mi się Dreszer, którego uważałem za straconego, a gdy i dwaj niefortunni jeźdźcy z jego patrolu przyszli nazajutrz do Krakowa, nie brakowało nikogo z oddziału. Cała szalona nasza eskapada z przemarszem w poprzek jednego nieprzyjacielskiego korpusu i przedniej straży drugiego obeszła się bez strat z naszej strony.

*

*

*

Teraz, gdy parę lat upłynęło i myślę na zimno o przejściu przez Ulinę, nie mogę się oswobodzić od poczucia, że przeżył jak gdyby bajkę z tysiąca i jednej nocy. Pomimo woli zawsze zadaję sobie pytanie, jak to było możliwym, gdy wydaje się nieprawdopodobnym.

Przede wszystkim więc decyzję swoją, jak to zaznaczyłem, najzupełniej polityczną, oparłem na fałszywej podstawie pod względem wojennym, na istnieniu korytarza pomiędzy armiami nieprzyjacielskimi i to korytarza, idącego w kierunku południowo-wschodnim, z oparciem o forty Krakowa. Okazało się, że III kaukaski korpus już 9., tego dnia, gdy byłem w Strzegowej, swoją awangardą przemaszerował przez ten korytarz drogami Czaple—Iwanowice i Słomniki—Skafa. Jakie były powody tego wyskoczenia naprzód III kaukaskiego korpusu — nie wiem. Marsz ten był tym śmielszym, że na południu flankowała go nie wstrząśnięta niczym forteca — Kraków. Osłona bowiem od tej fortecy, a raczej awangarda tej osłony — pułk finlandzki gwardii — stanął około Słomnik i wysłał swe forpocztę — «myśliwskie kompanie» — ku fortecy dopiero 10 pod wieczór. Stwierdziłem to przy badaniu jeńców, wziętych pod Widomą i w Michałowicach. Jeśli mi wolno postawić hipotezę, to będzie ona następująca: ruch mas rosyjskich był południowo-wschodni, forteca krakowska zmuszała do wystawiania przeciwko niej i zatrzymania zatem pewnej części wojska — w tym wypadku korpusu gwardii — i III korpus kaukaski, zmuszony zrobić miejsce gwardii, wyskoczył naprzód przed inne korpusy.

Faktem jest jednak, że zrobił mi on nadzwyczaj przykrą niespodziankę w Ulinie. Zaznaczę otwarcie, że gdybym choć na chwilę przypuszczał, że wpadnę w taką pułapkę, nie powziąłbym swej decyzji, gdyż wydawałaby mi się ona wprost niemożliwą do przeprowadzenia. Dodam zaś, że wiele, bardzo wiele świetnych czynów wojennych zawdzięcza swe powstanie jedynie fałszywym, nieodpowiadającym istocie rzeczy przypuszczeniom co do nieprzyjaciela, przypuszczeniom, które ułatwiają wykonania decyzji. No, a potem, gdy «le vin est tiré», następuje konieczność — «il faut le boire» ¹⁾.

W każdym razie, jeśli III kaukaski korpus, wśród którego znalazłem się rano dnia 10 listopada, sprawił mi przykrą niespodziankę i mógł mnie po prostu zdmuchnąć z powierzchni ziemi, to muszę mu przyznać, że uczynił wszystko, aby tego nie dokonać. Dotąd, wyznaję, nie mogę wyjść z podziwu,

¹⁾ Wino utoczone — trzeba je wypić.

że oddział dwutysięczny mógł spokojnie spędzić dzień cały i przemaszerować noc całą w poprzek korpusu armii, będącego w marszu w bliskości nieprzyjaciela. Jakaś po prostu nadzwyczajna lekkomyślność wojenna ze źle funkcjonującą służbą patroli i osłony. To właściwie było naszym zbawieniem.

Naprzód w Ulinie spędzamy cały dzień, gdy obok nas o parę kilometrów z jednej i drugiej strony maszeruje wojsko, idą transporty wojskowe. Gdybym był nie wysyłał patrolu Wieniawy na zachód, nie zostałbym nawet w przeciągu dnia zaczepiony. Lecz wreszcie jestem odkryty. Dwie sotnie kozaków otrzymuje od nas należyty odpór, więc powinno być jasnym dla Moskali, że nie jest to jakaś banda marudująca lub szukająca nieprzyjaciela, by mu się poddać. Zdawałoby się, że dla uniknięcia możliwego bigosu w dalszym swoim marszu naprzód powinni byliby Rosjanie natychmiast skoncentrować jakąś siłę dla zgniecenia śmiałków. Tymczasem nic się nie dzieje! Dalej na drodze Czapple—Iwanowice ostrzeliwujemy jakiś transport, wreszcie stykamy się z nieprzyjacielem w Czaplach samych. I znowu nic! Potem za Wiktorką sotnia nie ośmiela się zaczepić mojej ariergardy, gdy na nią prawie że najeżdża w nocy. Przez drogę Słomniki—Skała przechodzę kolumną kilometrowej długości tuż obok jakiejś nocującej części wojska rosyjskiego. Wreszcie w Widomej wślizguję się, już o dobrym świcie, pomiędzy pułk i jego osłonę od fortecy. Ba! Półtorej godziny siedzę w lesie o paręset kroków od głównej drogi w tej okolicy i o tyleż kroków od nocujących wywiadowców rosyjskich!

Każde z tych poszczególnych zetknięć z nieprzyjacielem mogło być w tym położeniu początkiem naszej zguby, w najlepszym wypadku — powodem wielkich strat. Każde z nich kończyło się albo niczym, albo nawet naszym tryumfem. Być może, że takie zachowanie się Rosjan było wynikiem ich przekonania o zupełnym rozbiciu armii austriackiej, w każdym razie nasze ocalenie w tej ryzykownej awanturze zawdzięczamy przede wszystkim złemu funkcjonowaniu maszyny wojсковej u Rosjan. Dodać muszę, że gdyby nie decyzja wyjścia do Krakowa, tobym narobił tam w środku maszerującego korpusu bardzo dużo bigosu i przykrości.

Drugą przyczyną udania się wyprawy było niewątpliwie zachowanie się ludności okolicznej. Nie mówię tu o doskonałych przewodnikach-przemysłownikach, którzy bez pudła prowadzili po bezdrożach. Ale w samej Ulinie nie przebyliśmy nigdy tak szczęśliwie dnia 10 listopada, gdyby otaczała nas ludność wroga i obca. Nie mówię o mieszkańcach samej Uliny Małej,

bo ta była w moim ręku i stamtąd nie wypuszczałem nikogo. Ale otoczenie! W tak gęsto zaludnionej okolicy wsie leżą bardzo blisko od siebie. Więc Buk, więc Ulina Wielka wiedziały przecież o naszym pobycie w ich sąsiedztwie. Tam władza moja, mój bagnet nie sięgał i w każdej chwili każdy z mieszkańców tych wsi mógł zawiadomić kręcące się patrole nieprzyjacielskie o naszej kryjówce w Ulinie Małej. Nic podobnego się nie stało, zostaliśmy nietknięci i nieodnalezieni aż do spotkania patrolu Wieniawy z kozakami.

Trzecią przyczyną szczęśliwego wyjścia z matni — to my sami, ja i moi drodzy strzelcy. Ze złym wojskiem nigdybym nie zdołał przeprowadzić swego zamiaru. Nie idzie tu o samą technikę przeprowadzenia sprawy i o ciężary pracy fizycznej żołnierza, chociaż one odegrały w tej akcji nie małą, ważną rolę. Myślę przede wszystkim o «morale» wojska. Zaczynając od wymarszu z Wolbromia w kierunku Miechowa, gdym się oddalał od armii austriackiej i szedł ku nieprzyjacielowi, narażałem nerwy swoich podwładnych na niezwykłą próbę. Ja wiedziałem o celu tej próby, oni nie mieli o tym, jak się mówi, zielonego wyobrażenia. Wciągnąłem ich w Ulinę z nocnym wymarszem stamtąd. Wtedy już każdy czuł jakąś niesamowitą atmosferę dokoła i przy najmniej rozwiniętej wyobraźni niepodobna było nie odczuwać oddechu śmierci i zagłady na twarzy. A jednak przez cały czas nie było ani jednej chwili zawahania się «morale» żołnierskiej, braku dyscypliny, czy objawów depresji. Spokojnie, nawet, zgodnie z naszym charakterem narodowym i żołnierskim stylem, trochę lekkomyślnie pełniono służbę nakazaną, bez szemrania i skargi. W ciągu całego marszu nie miałem wcale maruderów, pomimo, że marsz był bardzo uciążliwy, nawet dla wtrenowanego wojska. Po niespanej nocy, po uciążliwym odwrocie z Dębłina, przemaszzerowaliśmy nocnym marszem z Uliny do Widomej 25 km¹⁾ bez odpoczynku w bardzo ciężkich warunkach taktycznych, szliśmy większą część marszu po zoranym polu, nie po gładkiej drodze. Dla najlepszego wojska jest to próba nielada! To też na głębokim moim zaufaniu do żołnierza i jego sił moralnych polegała duża część powodzenia. Z innym żołnierzem niebardzo bym się odważył na takie ryzyko. Przypuszczam, że ta równowaga ducha żołnierskiego musiała polegać w pewnej mierze na odwrotnym uczuciu u żołnierzy — na zaufaniu do mnie.

¹⁾ W pierwszym i drugim wydaniu «Moich pierwszych bojów» wydrukowane zostało 75 klm., co jest niewątpliwie omyłką; odległość z Uliny do Widomej wynosi faktycznie 15, po uwzględnieniu marszu na przelaj, kluczeń i błędzeń mogła wynieść 25 klm.

Sam oglądam się na eskapadę ulińską zawsze z uczuciem dumy i radości. Radości dlatego, że rzadko podczas wojny przeżyłem tyle wrażeń i że nigdy już nie postawiłem na kartę dla osiągnięcia celu tak dużo, jakem zaryzykował 9 listopada. Nie chcę być źle zrozumianym. Nie idzie tu o ryzyko dla ryzyka, o rozkoszowanie się ryzykanctwem, idzie o to, że wojna i wszystkie zjawiska wojenne są połączone z ryzykiem nie fizycznym jedynie, związanym ze śmiercią — jest to ryzyko żołnierskie — lecz ryzykiem przegranej, ryzykiem nieosiągnięcia zamierzonego celu — jest to ryzyko każdego dowódcy. I jeżeli nie sądzono mi zaznać ryzyka wielkich przedsięwzięć wojennych, to na swoją skalę zaryzykowałem podczas Uliny prawie wszystkim. Dla celu, który uznałem za godny tego, postawiłem na kartę swej umiejętności, zdolności, jednym słowem na siebie, prawie wszystko, co miałem najdroższego — to, co uważałem za zawiązek wojska polskiego.

Z dumą zaś patrzę na Ulinę dlatego, że powziąwszy postanowienie zupełnie samodzielnie, bez odpowiedzialności przed kimkolwiek, nie cofnąłem się do końca przed jego przeprowadzeniem, pomimo, iż trudności spiętrzały mi się na każdym kroku, a ryzyko z każdą chwilą zwiększało się do niemożliwości. Otwarcie też wyznaję, że dopiero po Ulinie zacząłem sobie ufać i wierzyć w swoje siły. I być może właśnie dlatego słyszałem nieraz potem słowa moich żołnierzy: — Teraz za Komendantem pójdziemy wszędzie! Jeżeli on nas wyprowadził z Uliny, to już jesteśmy spokojni!

Był to więc jakby mój egzamin, który złożyłem zarówno przed sobą, jak przed żołnierzami.

Skończono w Magdeburgu, w więzieniu, dnia 7 września 1917 r.

LIMANOWA — MARCINKOWICE

Wielka, historyczna bitwa pod Limanową zaczyna się dla świata coś koło 8 grudnia, dla mnie i dla mego oddziału rozpoczyna się daleko wcześniej, mianowicie — od 20 listopada. W ogólnym położeniu bowiem militarnym olbrzymich frontów i milionowych zapasów początki tej bitwy względnie niewielkie miały znaczenie dla obu stron walczących. Niewielkie też ilości wojska brały tam udział — parę dywizji kawalerii, trochę armat, wreszcie dziwna mieszanina wszelkiego rodzaju drugorzędnych formacji, które to zjawiały się na froncie, to znów znikwały, ustępując miejsca innym. Ja z mymi trzema batalionami, kawalerią, w końcu artylerią walczyłem cały czas